№ 35. Warszawa, dnia 29 (17) Sierpnia 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

KOWALE SWOJEGO LOSU.

Czesi u przyjaciół i nieprzyjaciół zyskali sobie sławę zręcznych i wytrwałych kowalów swojego losu. Sława to całkiem zasłużona, choć niezawsze sprawiedliwie nabywana. Dość przypomnieć sobie tylko rozmaite zaloty głównego ich przywódcy, d-ra Riegera, dość odświeżyć w pamięci jego umizgi do węgrów, krzywdzące słowaków, ażeby zrozumieć, jak dalece czesi są i być pragną narodem wyłącznie politycznym, od wymagań plemiennego braterstwa, idealnej moralności i innych skrupułów wolnym. Taką jedynie praktyczną drogę wskazuje ludom świat — taką też oni wybrali i osiągnęli na niej ważne korzyści. W nieustannem wyzwalaniu się z pod przewagi niemieckiej są oni nietylko roztropni i niezmordowani, ale nawet śmiali, tak śmiali, że przysłowiowa tchórzliwość galicyjska bywa nieraz ich postępowaniem dziwnie oświetlaną. I oto znowu zrobili oni dwa kroki, które świadczą o ich wielkiej zręczności politycznej.

Jak wiadomo, ostatnim arcybiskupem praskim był niedawno zmarły kardynał Schwarzenberg, który kiedyś odezwał się do studentów-teologów czeskich, niechcących uczęszczać na wykłady niemieckie: „jeżeli nie nauczycie się po niemiecku, będziecie jako psy nieme." Naturalnie, mąż takiego zdania musiał być miły przed obliczem majestatu giermańskiego, który żywił nadzieję, że i następca kardynała będzie wycięty z tego samego pnia. Aliści nagle, ku wielkiemu zdumieniu „wiernych," pojawia się wiadomość, że na stolicę arcybiskupią w Pradze powołany został młody biskup hr. Schönborn. Nazwisko Schönborn brzmi nieźle, noszą je dostojnicy państwowi — niemieckie więc serca zaczęły pocieszać się, że „krew przodków" odżyje w nowym prymasie. Tymczasem na uroczystości instalacyjnej przemówił tylko po czesku i w tymże języku powitał go biskup Czerny. Trzeba słyszeć teraz okrzyki zgrozy. Dzienniki najbardziej przeciwko wszelkiemu uciskowi protestujące i nierozstające się z godłami „ludzkości" a nawet (w właściwych Niemczech) niezainteresowane bezpośrednio, wobec tego faktu zapomniały o swych zasadach, programach, hasłach i obrzuciły gradem kamieni czechów, ich arcybiskupa i hr. Taaffego. Jest to znamię nadzwyczaj charakterystyczne, że nawet prasa tak silnie zapędzana okolicznościami w samolubstwo, jak np. polska, może zdobyć się na pogląd sprawiedliwy, egoizmem niepodszyty, podczas gdy niemiecka, organ narodu potężnego i szczęśliwego bardzo rzadko zdobywa się na takie bohaterstwo. Niech dwa prusaki wpadną w beczkę cudzego piwa — zaraz ona będzie żądała, ażeby wszystko piwo wylać i zostawić go tyle jedynie, ile potrzeba dla nakarmienia prusaków bez narażania ich na zatonięcie.

Ale czesi ostrzelani są w takich walkach i nieraz już wąchali proch niemieckich pismaków. Obsadzili najważniejsze stanowisko kościelne rodakiem i po fakcie spełnionym drwią sobie z krzyków.

Nie odpoczywając, zabrali się do innej roboty politycznej. Z Galicyi wyjechała lub wyjeżdża gromadka ludzi na wystawę peszteńską. Z Wiednia wszakże otrzymali oni (nawet po ulicach rozlepione) ostrzeżenie, ażeby wstrzymali się w stolicy węgierskiej „od wszelkich manifestacyj." Jakie to mogły być manifestacye — trudno zgadnąć, ale ostrzeżeni ponowili przysięgę swej lojalności i z pewnością nie pochwalą nawet głośno papryki.

Ale nie boją się takich strachów czesi. Korzystając ze spotkania monarchów w Kromieryżu na Morawach, postanowili je wyzyskać dla siebie. Według doniesień gazet, podróż cesarza Franciszka Józefa odbyła się śród nieustannych hołdów czeskich, w których niemieckie prawie zniknęły. Zręczni politycy wysunęli się na plan pierwszy, pochwycili rolę gospodarzów ziemi i miejsca, w którem zjazd nastąpił.

Chociaż spotkanie w Kromieryżu jest odpowiedzią na odwiedziny w Skierniewicach i wzmocnieniem zawiązanych tam węzłów, chociaż hr. Kalnoky, niezmordowanie utrwalający przyjaźń swojego dworu z rosyjskim, dąży do celów, nieobjętych granicami polityki czechów, pieką oni zręcznie swoje kasztany w jego ogniu.

NOWE WYDALENIA.

Edykt pruski, nakazujący wygnanie 30,000 polaków, a jedyny w wieku obecnym (nie można z nim porównać wypędzenia garstki niemców z Francyi po r. 1870, ani duńczyków ze Szlezwigu, którym pozwolono przyjąć poddaństwo niemieckie—edykt ten teraz dopiero zaczyna być wprowadzany na wielką skalę i z całem okrucieństwem. Jak przytem sponiewierane są wszelkie uczucia miłosierdzia i zasady sprawiedliwości, świadczy szereg faktów przez prasę ujawnionych.

Gazeta warszawska powtarza za jednym z dzienników poznańskich dzieje tej nieludzkiej srogości, przypominającej prześladowania żydów w państwie rzymskiem.

„W samym Poznaniu otrzymało rozkaz wydalenia się kilkadziesiąt rodzin. Przez 17-ty i 18-ty sierpień ściągano banitów do policyi, gdzie protokularnie doręczano im ten okrutny rozkaz. Seciny rodzin zasmuconych i zrozpaczonych. Wiele żon musi oderwać się od rodzin, i już przed 1-ym października z mężami wyjechać. Jaka ruina dla tych rodzin, łatwo się domyślić. Historya XIX wieku na Zachodzie, w środ-

ku niemal cywilizowanej Europy, ten jeden jedyny przykład zapisze, że wypędzają ludzi spokojnych, pracowitych. Na prowincyi toż samo, zewsząd dochodzą podobne wiadomości. Wypędzają nietylko takich, co nie mają paszportów, ale i takich, co posiadają najlegalniejsze. Do tej ostatniej kategoryi należą: pp. Gustaw Turno ze Słopanowa i Czorba z Krajewic. Z Poznania także dwie osoby z paszportami legalnymi wydalono. Podobno ma być wygnany również p. Henryk Potworowski z Sielca, który urodził się w Królestwie Polskiem. W Poznaniu się wychował, do szkół chodził, tam odsłużył wojskowość i dosłużył się stopnia oficera artyleryi—mimo to dano mu rozkaz opuszczenia monarchii pruskiej. Też same wiadomości dochodzą z Inowrocławskiego, też same z Szamotulskiego i innych także powiatów. Czyż sądzą—powiada gazeta—że przez to złamią naszą wytrwałość? Mylą się bardzo, a sami się przekonają, jak grubo się mylili. Ci wypędzani przecież nie brali żadnego udziału w życiu publicznem—oddani byli najzupełniej pracy spokojnej, pracy na byt powszedni. Na widok tego, co się dzieje, głęboka boleść przejmuje serca, ale boleść ta zagrzać nas powinna, wobec doznawanych krzywd, do tem usilniejszej obrony. To jedno—z drugiej zaś strony to pewna, że krok ten przeciwko nam wymierzony, zapiszemy głęboko w sercu i pamięci. Jeszcze jedno: wypędzani mają się stąd wynosić 1-go października, zatem mają tylko sześciotygodniowy termin do wyniesienia. Naturalnie jeśli rozkaz ten wykonany będzie z energią i konsekwencyą, to oprócz okropnych moralnych katuszy, każdego prawie z wydalanych zrujnuje i do ostatniej nędzy doprowadzi. Niepodobna, aby władze tutejsze nie miały wejść w to i terminu tego banicyjnego przedłużyć. Dla tego należy, aby ci, którzy otrzymali rozkaz wydalenia się stąd, a w tak krótkim czasie niepodobna im spieniężyć swoich ruchomości, prosili o przedłużenie terminu. Niebezpieczeństwo stąd żadne dla państwa pruskiego nie wyniknie, a chcemy wierzyć, że mimo energii i konsekwencyi, temu żądaniu uprawnionemu w imię prostej ludzkości, nie odmówią.

Jak donosi *Danziger Ztng.* kupiec z Królestwa Polskiego, mieszkający w Królewcu od kilkunastu lat dla swych interesów handlowych i posiadający legalny paszport, otrzymał rozkaz opuszczenia terytoryum pruskiego. Na przełożenie jego atoli zbadano sprawę ponownie i cofnięto w tym przypadku nakaz. Natomiast innego handlarza, któremu dawniej już wręczono nakaz opuszczenia monarchii pruskiej, później atoli pozwolono aż do pewnego terminu pozostać dla uregulowania spraw familijnych, zawczwano obecnie, aby się wyniósł.

Wydalają też z W. Ks. Poznańskiego i poddanych austryackich, opatrzonych najlegalniejszymi paszportami. Otrzymało rozkaz wyniesienia się stąd dwóch kupców, którzy od paru lat tu fachowym zajęciom się oddawali. Widocznie zatem, rząd austryacki na ten krok się zgodził. Nie wydalają jednakże, jak słychać, choć bez paszportu, polaków-ewangelików; polacy tylko katolicy i żydzi ulegają banicyi.

Do jakiego stopnia praktykują władze, zarządzone środki przeciw polakom, nie mającym pruskiego indygenatu, świadczy między innemi fakt następujący: U Leona hr. Skórzewskiego w Lubostroniu bawi od niejakiegoś czasu ks. lic. Chotkowski, profesor Jagiellońskiej wszechnicy i poseł do austryackiej rady państwa. Komisarz obwodowy nakazał mu z rozkazu landrata natychmiast Lubostroń opuścić. Dopiero, gdy ks. Chotkowski odpisał p. landratowi, iż wyjedzie dopiero wtedy, gdy się skończą jego wakacye, i gdy będzie powołany do rady państwa, pomiarkował się p. landrat i cofnął wydany rozkaz."

Nawet dzienniki niemieckie (z wyjątkiem naturalnie chóru żyjącego z gadzinowej krynicy) bądź sarkają na gwałt, bądź przepowiadają jego smutne następstwa. Oto co pisze protestancka, a więc katolikom nieprzychylna *Breslauer Zeitung.*

„Jedną z ofiar polityki prześladowczej jest górnik Franciszek Schlenk z Bogucia, którego rodzice byli poddanymi pruskimi, zamieszkałymi w Mysłowicach, skąd wynieśli się za granicę (do Bendzina). Tu w kilka lat po urodzeniu się im tamże syna, pomarli. Sierotę wzięli krewni w Rybniku (na Górnym Szląsku) do siebie i wychowali. Odtąd nie opuszczał Franciszek granic państwa pruskiego, a od sześciu lat należy on do stowarzyszenia górników górnoszląskich, jako uprzywilejowany uczestnik, tj. posiadający prócz innych prawo do pensyi. Wskutek wydalenia go, przepadają mu wszystkie prawa. Ulega on wypędzeniu, niczego złego się nie dopuściwszy. Przy sprawdzeniu metryki urodzenia okazało się, iż nie jest poddanym rosyjskim, ponieważ rodzice jego byli poddanymi pruskimi. Gdzież się więc biedak ów ma udać? Wszyscy wypędzeni górnicy mieli tu byt zabezpieczony. W razie choroby lub nieprzewidzianych wypadków, w razach niezdolności do pracy i na przypadek śmierci byli zaasekurowani w kasach górniczych i innych instytucyach dobroczynnych—a teraz tracą prawa, nabyte przez długoletnie opłacanie składek. A jakiż właściwie jest cel tych wszystkich wydalań? Jeżeli chodzi o polskie i klerykalne agitacye, natenczas niechby energicznie przeciw agitacyom tym występowano. Wszystkie jednakże sprawozdania z Górnego Szląska nas dochodzące, zgadzają się na to, iż najznaczniejsza część wypędzonych, a znajdują się pomiędzy nimi i Bogu ducha winni protestanci, o agitacyach nic a nic nie wie."

Posłuchajmy innego głosu. *Frankfurter Zeitung*, dowiódłszy, że wypędzenie takiej masy sił roboczych, które zastąpić się nie dadzą, sprowadzi szkody ekonomiczne, tak kończy:

„Co innego wydalać za granicę włóczęgów, co innego uniemożliwiać przyjęcie poddaństwa i wypowiadać prawo gościnności ludziom osiadłym, którzy je posiadają już może w drugiem lub trzeciem pokoleniu i wcale nie stracili. A są między nimi tacy, którzy się uważali za prusaków—zapomniawszy o naturalizacyi lub nieświadomi jej potrzeby—odbyli służbę wojskową i zyskali stopnie oficerskie. Jakie uczucia napełniać muszą serca tych ludzi, otrzymujących rozkaz wygnania, który ich nietylko pozbawia ojczyzny—bo gdzież urodzeni i wychowani w Niemczech mają inną ojczyznę?—lecz rujnuje materyalnie. Właśnie niemcy, po smutnych doświadczeniach r. 1870 we Francyi, powinni coś o tem wiedzieć. Wtedy podnosiliśmy krzyk oburzenia—czy możemy dziwić się, że taka sama zgroza i takie same uczucia dobywają się z piersi polskich."

Nie łudźmy się wszakże. Wiele tych słów zacnych i litościwych płynie z obawy odwetu. Niemcy wyznają otwarcie, że gdyby go Rosya zastosowała do swych „żywiołów napływowych," edykt pruski sprowadziłby jedną z najstraszniejszych klęsk. Nie przewidujemy takiego odwetu, ale przytoczymy artykuł *N. Wremieni.*

„Pokojowy najazd niemców na pogranicza zachodnie państwa rosyjskiego—pisze ta gazeta—coraz bardziej zaczyna zwracać uwagę. *Drang nach Osten*, który zrazu brano tylko za szumny frazes, okazuje się

---

11)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

SCENA 5.

Aspazya i Perykles, później Traks.

Aspazya.

Peryklesie kochany, ty coś złego przeczuwasz lub przede mną taisz. Czemu Anaksagorasowi kazałeś uciekać z Grecyi?

Perykles.

Uwięzionoby go, a może i stracono.

Aspazya.

Anaksagoras miał być uwięziony i stracony w Atenach, któremi rządzi Perykles? Co to znaczy, mój drogi? Czyż ten lud, któryby go sądził, ciebie nagle słuchać przestał? Wspinając się na tę wysokość, której dosięgłeś, przeprowadzałeś doniosłe prawa, burzyłeś odwieczne urządzenia, wypowiadałeś wojny — a dziś, stanąwszy na szczycie sławy i wpływu, nie zdołałbyś obronić przyjaciela? Ja tego pojąć nie mogę.

Perykles.

Obwiniono go o zniewagę religii, o zaprzeczanie istnienia bogów...

Aspazya.

Więc cóż z tego?

Perykles.

Jeżeli mnie kiedykolwiek o to oskarżą, nie będę próbował usprawiedliwić się nawet przed tymi, których uszczęśliwiłem, i natychmiast kraj opuszczę. Z martwych, bezkształtnych brył marmuru Fidyasz wykuwa posągi, w których rzeźbi wszystkie znamiona piękna; ale każde to jego arcydzieło, pchnięte obcą ręką, obali się i zabije swego twórcę, pomimo, że mu zawdzięcza byt. Podobnie czyni nieraz ze swymi obrońcami lud. Można z nim wyważyć ziemię, aby tylko nie spostrzegł, że przez to naruszy się jego niebo; można go podniecić przeciwko ludziom, aby tylko nie zauważył, że obraża bogów; będzie przelewał swą krew za najwznioślejsze idee, ale nie tknie najniedorzeczniejszego przesądu religijnego. W przekonaniach politycznych i społecznych, w rozwoju lat ostatnich pokruszyło się również mnóstwo starych wierzeń, na bankructwie arystokracyi ucierpiał także mitologiczny handel, którego spekulanci pewnie zaczęli uświadamiać ludowi, dokąd zaszedł i kto go do bezbożności prowadzi. Z tym gniewem tłumu igrać nie należy, spodziewam się wszakże, że Anaksagoras będzie jedynym kozłem ofiarnym.

Aspazya.

I on by nim nie był, gdybyście podnosząc lud politycznie, podnosili go zarazem umysłowo. Posiadł on prawa, zdobył zamożność, ale pozostał ciemnym, niezdolnym was należycie zrozumieć, zawsze skłonnym do zwrócenia się przeciwko własnym mistrzom i dobroczyńcom.

Perykles.

Ani na jedną chwilę Ateny nie złożyły w moje ręce władzy, która by mi pozwoliła w nich postęp przyspieszyć. Działałem wyłącznie mocą rad i starań, nie jako archont, nie jako członek areopagu, nie jako dostojnik państwa, ale jako pierwszy jego obywatel. Otóż zdawało mi się, że zrobiłem wszystko, czego siły prywatnego człowieka dokonać mogą. Tymczasem na schyłku życia, gdy już zacząłem marzyć o wdzięczności ziomków, a nie o nowych zasługach, wyrzuca mi niedołęstwo po-

teraz rzeczą poważną, nad którą zastanowić się godzi. Wkrótce po wojnie francusko-pruskiej, napływ niemców do Królestwa Polskiego i najbliższych okolic kraju zachodniego odbywał się całkiem swobodnie, a nawet poniekąd był popierany przez władze miejscowe. Ale zaledwie minęło lat dziesięć, już wzrastający *Drang nach Osten* zaczął nas trwożyć. Listy, pisywano do różnych dzienników, wskazywały na fakt szczególny, że dzierżawcy niemieccy zajmowali przedewszystkiem grunta przytykające do przepraw przez rzeki i wogóle mające znaczenie strategiczne, że wznosili budowle podobne do obwarowanych blokhauzów lub nawet forteczek, że nasze koleje żelazne przechodziły w ręce niemieckich landwerzystów itp. Ostatnimi czasy oznaczano liczbę przychodniów niemieckich do samego tylko Królestwa Polskiego na 390 do 400 tysięcy głów. Cyfrę tę poparły też inne dane; tak np. ze sprawozdań komór celnych widać, że od r. 1870 do 1882 przybyło do Rosyi 4,735,515. a wyjechało przez ten czas mniej o 438,432 niemców. Teraz jednak można się spodziewać, iż sprawa *Drang nach Osten* zbliża się ku rozwiązaniu. Słychać, iż ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło na nią uwagę i poleciło przedewszystkiem zebrać dokładne dane statystyczne, dotyczące cudzoziemców, którzy w ciągu ostatnich lat pięciu przyjęli poddaństwo rosyjskie. Z danych, dotąd otrzymanych, okazuje się: W r. 1880 przyjęło poddaństwo rosyjskie 1,600 cudzoziemców, w tej liczbie przeszło 900 niemców; w r. 1881 2,100 cudzoziemców, a w tej liczbie około 1,300 niemców; w r. 1882 2,500 cudzoziemców, a przeszło 1,700 niemców; w r. 1883—5,000 cudzoziemców, w tej liczbie przeszło 4,000 niemców, a niemal 3,000 samych prusaków; nakoniec w r. 1884 liczba przyjmujących poddaństwo rosyjskie doszła niemal do 11,000, w tej liczbie poddanych niemieckich 8,000, a między tymi ostatnimi 5,500 prusaków i 2,500 sasów, bawarów i innych. Na ostatnią cyfrę ogółu niemców przyjmujących poddaństwo rosyjskie złożyło się około 200 kapitalistów i wielkich właścicieli ziemskich, około 1,500 służących na kolejach żelaznych, około 3,000 rzemieślników i przeszło 3,000 rolników. Zestawiając powyższe liczby, przekonywamy się, że w ciągu ostatnich lat pięciu przyjęło poddaństwo rosyjskie około 22,200 cudzoziemców, pomiędzy którymi było 6,500 niemców austryackich, słowian, turków, francuzów, duńczyków, chińczyków, anglików, persów, afganistańczyków itd., a 15,700 rodowitych niemców z cesarstwa niemieckiego. Pomiędzy tymi ostatnimi samych prusaków było przeszło 11,000. Mowa tu tylko o głowach rodziny; jeżeli zaś dodamy ich żony i dzieci, to liczba owych niemców, którzy przyjęli poddaństwo rosyjskie, wyniesie około 50,000. Przeciętny wiek owych nowych poddanych rosyjskich waha się między 35 a 37 laty; to znaczy, że prawie wszyscy przeszli już służbę wojskową w szeregach i zaliczeni są obecnie do landwery lub landszturmu. Nakoniec nie zaszkodzi nadmienić, że z pomiędzy obdarzonych poddaństwem rosyjskiem w ciągu dwóch lat ostatnich, około 1,830 niemców służy na kolejach żelaznych w Królestwie Polskiem. To zaisto cały pułk kolejowy, mający w swoim składzie kilkudziesięciu oficerów i mogący w danym razie niemało narobić kłopotu. Przytoczone powyżej cyfry dostatecznie wskazują znaczenie pracy przedsięwziętej w ministeryum spraw wewnętrznych, a o ile nam wiadomo, już dobiegającej do końca. Kiedy z Niemiec wypędzają poddanych rosyjskich, niepodobna nam patrzeć spokojnie na zalew przez niemców Kraju Nadwiślańskiego i zachodniego. Spodziewamy się, że wszystko, co mówiła prasa i co potwierdzają urzędowe dane statystyczne, stanie się powodem przedsięwzięcia środków, kładących tamę rozgłośnemu *Drang nach Osten*."

WAŻNY DOKUMENT.

Nie będę opowiadał procesu — do niego bowiem nie przyszło — ale sprawy głośnej, do jakiej powód dała pogłoska o zamierzonem wysadzeniu w powietrze pałacu federalnego w Bernie (Szwajcarya). Sprawa wywołała dochodzenie, a dochodzenie nie doprowadziło do niczego. Śledztwo, prowadzone przez prokuratora rzeczypospolitej, wykazać nie zdołało istnienia zamiaru. Człowiek, o którym domyślać się można, że tajemnicę tę posiadał, życie sobie w więzieniu odebrał. Ze śmiercią jego nitka się urwała, rzecz się atoli wyjaśniła i rezultat moralnego dochodzenia wystąpił pod postacią raportu prokuratora, p. Müllera, ogłoszonego dla wiadomości publicznej p. t. „Raport o anarchistach" (*Le rapport sur les anarchistes*). Praca ta ważną jest pod tym względem, że daje wskazówki do wytworzenia sobie sądu o agitacyi, niepokojącej opinię publiczną w Europie i w Ameryce, w państwach monarchicznych i republikańskich.

Czem jest owa agitacya? — wynik li to potrzeby, czy dążności jakiej, czy też choroba?... Skąd pochodzi, dokąd zmierza?... Ma cel jaki, czy niema żadnego?... Czy posiadają społeczeństwa sposoby bronienia się przeciwko niej? Pytania te nasuwają się same przez się, gdy słyszymy o wybuchach dynamitowych tu, tam i owdzie; gdy zamachy te kojarzą się z czynami, uważanymi powszechnie za zbrodnie, takimi mianowicie, jak morderstwo dla obrabowania z pieniędzy; gdy zwłaszcza zbrodnie znajdują uznanie w organach publicystycznych i podawane są, jako zastosowanie praktyczne teoryi.

Co to znaczy?

Piszą o tem dużo, rozprawiają szeroko, trudno atoli spotkać się, czy to w łamach pism czasowych, czyli też w książkach nawet z poglądem spokojnym i objektywnym. W poglądach, pochodzących od stronnictw, znaleźć można wszystko, z wyjątkiem sądu trzeźwego, najczęściej zaś znajduje się w nich woda na młynek własny. Pisma klerykalne, naprzykład, pięknie i szykownie dowodzą, że powodem zamachów jest nie co innego, jak osłabienie ducha religijnego. Ci, co dla celów anarchicznych mordowali bankierów i zegarmistrzów, nie słuchali mszy, nie odbywali spowiedzi. Rozumowaniu takiemu przeciwpostawić można Ravaillaca, który mszy słuchał i spowiadał się, a przecie Henryka IV zamordował. Niedawno w Genewie jeden wypadek miasto całe w osłupienie wprawił. Matka (pani Lombardi) ręką własną zamordowała troje dzieci własnych. Dopuściła się tego w przystępie halucynacyi religijnej, rozbudzonej spowiedziami, mszami i kazaniami. Gorliwe pełnienie obowiązków religijnych, branie w znaczeniu literalnem nauki o życiu przyszłem i wykładów o zepsuciu, jakie w świecie panuje obecnie, zatrwożyło biedną kobietę o los, czekający duszyczki jej dziatek, wyprawiła więc je na tamten świat: — dzieci porznęła i porznięte kwiatami okryła. To okropne!.. Zrazu wzięto ją za obłąkaną, lubo ci, co ją znali, ani mąż, ani spowiednik zgoła się tego przedtem nie domyślali. Utyskiwała na upadek wiary, sama wierzyła gorąco — wierzyła mia-

---

wiernica moich zamiarów, współuczestniczka moich prac, najukochańsza żona.

Aspazya.

Peryklesie, chyba rozstanie z przyjacielem nastroiło cię tak niesprawiedliwie dla mnie. Czyż ja śmiałabym wymawiać niedołęstwo tobie, który przetworzyłeś połowę Grecyi a jej dziejom wytknąłeś inny kierunek? A niechże by mi wprzód język skamieniał jak korał! Ale skoro byłam wspólniczką twojej pracy, mam niejakie prawo wskazać jej niedostatek. Tak, drogi mężu, trzeba koniecznie lud oświecić, bo wszystko, co zbudowałeś na tej surowej masie, nie będzie trwałem.

Perykles.

Wielkie to zadanie, a zająłbym się jego rozwiązaniem, gdybym miał twój wiek. Niestety, stoję o dwadzieścia lat od ciebie dalej i uczuwam już w piersi chłód starości.

Aspazya.

Jesteś tylko długą walką i trudami zmęczony. Ale powoli odpoczniesz i zajmiesz się sprawą bezpłatnych szkół dla ludu.

Perykles.

Jeśli ten obowiązek na mnie cięży...

Aspazya.

Dodałabym jeszcze drugi.

Perykles.

Jaki?

Aspazya.

Powinieneś postarać się o wygnanie z Aten wszystkich arystokratów, spiskujących przeciwko demokracyi.

Perykles.

Gdybym nawet mógł to zrobić, wahałbym się.

Aspazya.

A ja — nie. Obrywanie liści lub ścinanie łodyg nie wytępi szkodliwego zielska — trzeba je wydrzeć z ziemi aż do najdrobniejszych korzonków. Pomiędzy nami a oligarchią istnieje nietylko różnica przekonań, ale także różnica środków. My walczymy godziwie, nasi przeciwnicy nie gardzą żadną podłością. Te plewy musisz wywiać z Aten. Posunąłeś się tak daleko, że resztę drogi przejść zdołasz. A dopiero na jej końcu stoi twój cel (*wchodzi Traks*).

Traks.

Elpinika zostawiła niewolnicę u siebie i powiedziała, że w zamian kupi kilka córek pani i przyśle.

Perykles (*surowo do Traksa*).

Ty jeszcze nie wiesz, co tobie do pani mówić wolno?

Aspazya.

Ja ci wyraźnie poleciłam, ażebyś niewolnicę przyprowadził napowrót.

Traks.

Co miałem począć, kiedy ją służący Elpiniki natychmiast gdzieś schowali.

Perykles.

Z oczów przegląda ci kłamstwo. Pamiętaj, jeśli się dowiem, że pomogłeś do zatrzymania tej dziewczyny, każę ci jej imię wypalić na czole. Za drzwi! (*po odejściu Traksa*). Kilkakrotnie już ostrzegano mnie, że to łotr.

Aspazya.

Chciałam biedaczkę zbawić i może ją zgubiłam. Ale nie, przecież to niewolnica Teory, która ma prawo o nią się upomnieć (*wchodzi Eurypides*).

SCENA 6.

Ciż i Eurypides.

Eurypides.

Anaksagoras w więzieniu?

nowicie w to, że dzieciom jej zagraża straszne potępienia wiekuistego niebezpieczeństwo, jakoteż w to, że grzech każdy oczyszcza się za pomocą żalu i pokuty. Dopuściła się przeto grzechu, dla uratowania dzieci a w intencyi odżałowania i odpokutowania. Logika ta drogą prostą poprowadziła ją do rezultatu, który władzę sądową w kłopot wielki wprawił. Oddano ją lekarzom do badania. Lekarze trzeci już miesiąc nad nią czuwają i zdecydować się nie mogą na uznanie jej za niepoczytalną. Czy fakt ten nie dał by się wyzyskać dla potępienia doktryny w sposób taki, w jaki pisma klerykalne wyzyskują nietylko zamachy anarchistów, ale nawet złodziejstwa zwyczajne, dokonywane przez tych, co Darwina czytali? Poglądy takie nie rozwiązują zagadnienia, do rozwiązania tego potrzebne są inne. Nie masz, zdaje się, teoryi, którąby nie doprowadzała do wyników potwornych — do jakiegoś ausrotterstwa dzikiego. Czyż to, co prusacy z ludnością polską w chwili obecnej dokazują, nie jest wynikiem teoryi? Zaprzeczyć temu nie można, że na wszelkiego rodzaju „ausrotten“ ona wpływa — wpływa znacznie, ale nie wyłącznie. Przyczyny tkwią w innych jeszcze czynnikach, nurtujących częścią w duszy ludzkiej, częścią w otoczeniu — w stosunkach społecznych — w warunkach politycznych. Nikt tego nie powiada, że — naprzykład— irlandczycy, co dynamitem wojują, podnięty do wsuwania min pod budowle czerpią w pozytywizmie. Irlandya jest na wskróś katolicką.

Owóż praca p. Müllera daje wskazówki niejakie w szukaniu przyczyn zamachów anarchicznych, jakoteż prowadzącej do nich agitacyi, mających pozór opierania się na teoryi. Pozór tylko, doktryna bowiem sama, usprawiedliwiona i sformułowana, nie istnieje inaczej, jak w postaci zapędu do ostateczności na drodze rozumowania. Jak genewianka owa wyrozumowała sobie morderstwo dzieci własnych; jak filozof Hartmann wyrozumował potrzebę wytępienia narodu; tak samo grupy, dopuszczające się zamachów, wywnioskowały sobie reformę społeczną za pomocą kradzieży, skrytobójstwa i wybuchów dynamitowych. Nie mają one najmniejszej z taką lub inną moralnością styczności, nie są jednak bez powodu, na który prokurator szwajcarski palcem wskazuje, mówiąc w raporcie swoim, skąd się anarchizm wziął. „Zrodziło go i podtrzymuje — powiada p. M. — to, że istotnie wielkie masy ludzi cierpią i znajdują się w niedostatku, nie mając zgoła nadziei wyjścia zwycięzko z walki o byt, ani wyjścia kiedykolwiek, za pomocą pracy samej, ze smutnego położenia, w jakiem pędzą żywot. Podtrzymuje anarchizm to, że czasy, w których żyjemy, wyryły pomiędzy kapitałem a pracą zgubną przepaść, stawiającą w opozycyi gorącej całe klasy ludności naprzeciw siebie...“ Nie jest to rzecz nowa, ale ważna z tego względu, że wychodzi z pod pióra urzędnika wysokiego, który, spisku nie odkrywszy, ani przygotowania do czynu zbrodniczego nie wyśledziwszy, ale odkrywszy i wyśledziwszy agitacyę, zmuszonym się widział uznać podawaną przez ludzi prywatnych, przez agitatorów i uczonych, przyczynę stanu rozprzężenia i niezadowolnienia ogólnego. Uznanie to pisma „porządne i przyzwoite,“ to jest takie właśnie, co posiadają młynki, na które potrzebują zewsząd wodę ciągnąć, mają bardzo za złe. „Zdaje się nam — powiada jedno — że uwagi te płyną z serca najlepszego i z intencyi dobrej. Lecz prokurator główny, obowiązany śledzić anarchistów, czy powinien był wyrażać w raporcie swoim poglądy, które, zdaje się, jakoby do pewnego stopnia usprawiedliwiały ich i zachęcały osobistości pewne do naśladowania? W czem uwagi te ogólne, które by na miejscu swojem były w manifeście wyborczym, łączą się z zadaniem urzędnika, wyznaczonego do sprawy czysto sądowej?“ Żadne z pewnością „porządne i przyzwoite“ pismo nie zadałoby zapytania podobnego, gdyby uwagi ogólne prokuratora, zwyczajne we wszystkich tego rodzaju raportach, na zwyczajnym jechały koniku. Pan Müller ze zwyczajnego tego konika zsiadł i ukazał przyczyny istotne. „Wielkie masy ludzi rzeczywiście cierpią i znajdują się w niedostatku“ — w niedostatku beznadziejnym, rozpacznym, wołającym na głos cały, że tak nadal pozostać nie może. Stan ten wytwarza różne wynikłości naturalne, a między innemi i anarchistów.

Prokurator szwajcarski nie wyszukał stronnictwa anarchicznego, w tem znaczeniu, jakie do wyrazu „stronnictwo“ przywiązujemy. Są to pod przewodnictwem wielkiego apostoła anarchizmu, Mosta, grupowania się dorywcze tu i owdzie osobistości, działających na oślep a pociąganych przez indywidua niespokojne i rozgłosu żądne. Ciekawem w raporcie jest studyum psychologiczne Hufta, który do śledztwa dał powód. Istota czynu, mającego na celu wysadzenie pałacu federalnego w powietrze, jego była dziełem i polegała całkowicie na mistyfikacyi. Śledztwo wykazało, że dla dokonania zamiaru tego żadna zmowa, żadne przygotowania nie istniały i, gdy Huft dowiedział się o wyniku śledztwa, wówczas życie sobie odebrał. Wedle kodeksu karnego szwajcarskiego, największą, jaka go (cudzoziemca) czekała kara, było wygnanie z kraju. On o tem wiedział: czemuż sobie życie odbierał? Tłumaczy się to nie inaczej, jak pobudkami psychicznemi. Śledztwo, badając przebieg życia i czynności Hufta, rzemieślnika, ścigającego marę wielkości i sławy, obdarzonego silnym a nerwowym talentem pisarskim, wniknęło w głąb charakteru jego, przedstawiającego mieszaninę „kłamstwa i hipokryzyi, podstępności i podłości, próżności bezgranicznej i nienasyconego zamiłowania w skandalu.“ Gwoli temu ostatniemu ruszył on zajączka — wysadzenia dworca rządowego w Bernie; gdy zajączka wytropiono, uczuł się skompromitowanym i zraniona próżność do samobójstwa go popchnęła.

Huft wiernie osobą swoją działalność anarchiczną odwzorowywa. Niema ona innego celu, jak sztuka dla sztuki — ten bowiem, który sobie niby wytyka, jest wprost do osiągnięcia niemożliwy. Wszystkie pałace w powietrze powysadzać, wszystkich „burżuazów“ wyrznąć, całą kulturę zniszczyć — nie sposób. To darmo — ludzkość nie wróci do pierwotnego, jaskinnego bytowania, świecącego w dali, jako ostateczny usiłowań i kierunku zamachowców wynik. Zaprzeczyć jednak nie można, że usiłowania te i kierunek wypływają z przyczyn nie dość uwzględnianych przez tych, których anarchiści przezywają „zapasionymi“ (*les repus*). Uwzględnianie przyczyn tych zapobiegłoby zapędom zadalekim na drodze rozumowania i podcięło skrzydła Mostom i Huftom. Wskazówkę tę daje prokurator Müller. Powiada on, że najskuteczniejszy do zwalczenia anarchizmu sposób polega na uczynieniu jaknajszerszem zadość tym żądaniom klasy roboczej, które cechuje sprawiedliwość.

Sprawiedliwość!...

Od kogo ona zależy? W kwestyę tę wchodzić nie będę dla braku miejsca. Dodam jednak, że—zdaniem mojem—raport prokuratora Müllera jest, w czasach ostatnich, najważniejszym, jakie się pojawiły, dokumentem urzędowym. Ważniejszego

---

Perykles.

Nie.

Eurypides.

Mówiono mi, że mu nie pozwolono nawet pochować syna. Przytułek wasz zamknięty a jego wychowanki mają przejść na własność państwa.

Aspazya.

Kto tak rozporządził?

Eurypides.

Archont. Sam widziałem, jak je pod strażą do sądu odesłał.

Perykles.

Hola! Perykles jeszcze żyje! (*wychodzi*).

SCENA 7.

Aspazya i Eurypides.

Aspazya.

Co się to dzieje?

Eurypides.

Całe Ateny zdrętwiały w grobowej ciszy, w której krążą tylko stłumione szepty smutku, czy złości.

Aspazya.

Z powodu procesu Anaksagorasa?

Eurypides.

W grupach obywateli, rozrzuconych po mieście, obiegają półsłówka, zapowiadające większą burzę.

Aspazya.

Perykles ją rozpędzi.

Eurypides.

Gdzie Anaksagoras?

Aspazya.

Bezpieczny. Ucieka do Azyi.

Eurypides.

Chwała wam. Od godziny pierwszy raz lżej odetchnąłem. Ludzie mi z serca powypadali, niewielu w niem zostało a przed innymi on, czcigodny mój nauczyciel. Ateny już mnie przepoiły nudą i obrzydzeniem, nie mogę z niemi próchnieć i gnić. Dotąd opierałem się chęci opuszczenia ich na czas jakiś, dziś prześladowanie Anaksagorasa wypiera mnie z tego miasta. Odjadę i nie zatrzymam się aż tam, gdzie lepiej lub chociaż inaczej.

Aspazya.

Zerwijmy się wszyscy jak stado przepiórek i odlećmy do cieplejszych krajów. Nie, Eurypidesie, to byłoby zbyt ptasie.

Eurypides.

Wrosnąć można tylko w grunt ogrzany słońcem miłości, ale nie w ziębiony mrozami zdrady. Mnie żadna istota nie pokochała a wszystkie zdradziły.

Aspazya.

I Diotima? Ona ci nawet nie obiecywała, że żyć będzie.

Eurypides.

Ale jej niema — i znowu jestem samotny. Nie powiedz nigdy, że Eurypides słaby, kapryśny, bojaźliwy, a Perykles mocny, odważny i wytrwały, bo Eurypides nie miał przy sobie takiej kobiety, jaką Perykles ma w tobie. Człowiek wtedy walczy mężnie na polu publicznem, kiedy mu w domu czułe serce nagradza każdy ubytek sił. Gdyby mnie kochała Aspazya... pytałbym tylko ciągle, co jest w świecie do zdobycia i zdobywałbym.

Aspazya.

Zawody rozbiły cię bardzo: jedź więc i wróć zahartowany. Twój wielki umysł nie powinien pękać pod uderzeniami życia.

Eurypides.

Bądź zdrowa Aspazyo, jedyna kobieto, której nie przeklinałem (*wchodzi Protagoras*).

nie znam, mimo że głośnych, otrąbianych, rozreklamowywanych więcej jest niż potrzeba.

T. T. Jeż.

LISTY KRAKOWSKIE.

20 sierpnia.

Pora martwa i sztuczne życie. — Skutki niedbalstwa rady miejskiej. — Przymusowe święto pracy. — Ustawa o włóczęgach. — Dom dla ubogich. — Sokół. — Muzeum Czartoryskich.

Nigdzie może w miesiącach wakacyjnych nie występuje wyraźniej martwota jak w Krakowie. W miastach handlowych, fabrycznych, przemysłowych, gdzie piece i kotły huczą dzień i noc przez cały rok, a wymiana produktów ani na chwilę nie ustaje — inteligencya wyjeżdża na świeże powietrze równie cicho i niepostrzeżenie, jak i powraca. Ruchliwa fizyognomia miasta, ożywiona nieustanną grą interesów nie traci nic ze swej wyrazistości, bo ci, co wyjechali, nie byli duszą żywiołu—stanowili tylko jego małą cząstkę. U nas inaczej: dopiero w wakacye pokazuje się, jak sztuczne jest życie Krakowa, jak polega ono na hałasie i zgiełku, czynionym przez profesorów uniwersytetu, radców miejskich, członków Akademii umiejętności, panów, dewotki i studentów; jak brak mu twórczej, plennej pracy, i ludzi, istotnie dla dobrobytu produkujących. Kraków zamiera z chwilą zamknięcia podwojów Akademii, opustoszenia ław i katedr wszechnicy, wyludnienia resurs, ustania modnych nabożeństw, a tym czasem mistrzowie nauki, członkowie towarzystw i bractw świętobliwych, wielcy radcowie—słowem ci „inteligentni“ miasta obumarłego krzepią sterane w publicznej słuźbie zdrowie u wód zagranicznych, w krajowych zdrojowiskach, w wiejskiem zapomnieniu, by nabrać sił i humoru do dalszej pracy w imię rozumnej polityki, dla chwały bożej i własnego pożytku. W Krakowie pozostali tylko ci, których konieczność przykuła do murów miejskich, zacząwszy od urzędników, którzy nie dostali urlopu, od ludzi zmuszonych rodzajem zajęcia do nieopuszczania miasta—a skończywszy na tych, co od pracy ciężkiej nie odjeżdżają nigdy — raczej, raz tylko... na cmentarz.

Pośród tej ciszy w ostatnich dniach lipca tragiczny wypadek wstrząsnął umysły ogółu. Antoni Podczaski, porucznik inżenieryi wojskowej, utonął w czasie ćwiczeń, któremi kierował na Wiśle. Nieszczęśliwy był człowiekiem pełnym rzadkich przymiotów, znanym prawie każdemu. Zwłoki mimo najusilniejszych poszukiwań, dokonywanych przez rybaków, przez magistrat, przez wojskowych nurków—nie zostały dotychczas znalezione. Wypadek nabrał ogromnego rozgłosu, dzięki ubocznym okolicznościom, w wysokim stopniu zdradzającym niezaradność i niedbalstwo władz miejskich. Nieszczęśliwy oficer utonął o kilkadziesiąt kroków od przewozu miejskiego, w obrębie przestrzeni zostającej pod opieką magistratu, teoretycznie pilnowanej przez osobne łodzie ratunkowe; utonął w tem samem miejscu, gdzie oddawna rok w rok toną ludzie bez żadnego ratunku, gdzie w czerwcu utonął uczeń gimnazyalny również pod okiem niedołężnych przewoźników, których wola magistratu z celników uczyniła żeglarzami.

Jeszcze po tej katastrofie zastanawiali się ojce miasta nad sposobem ograniczenia podobnych wypadków. Uradzili wówczas zakaz pływania łodziami po Wiśle, robiąc wyjątek dla rybaków i dla członków towarzystwa wioślarskiego, do którego ze względu na wielkie opłaty mało kto może należeć. Zamiast podnosić a raczej utworzyć środki ostrożności, ograniczyli więc tylko przez swe sławne rozporządzenie swobodę korzystania z rozrywki tak wysoce hygienicznej i kształcącej siły, jak wiosłowanie na rzece, zapominając, że podobne ustawy w najgorszym razie tylko przeciw małoletnim można wymierzać. Stało się jednak radzie miejskiej zadość: łodziami publiczność nie kieruje—ale kierował fachowy człowiek... i utonął—w niczem ustaw magistrackich swym skonem nie naruszając. Śmierć jego cięży na władzach miejskich, które ostrzegane od lat wielu doświadczeniem, powinny były groźne a tak ważne dla ruchu miejsce zabezpieczyć całym aparatem ratunkowym. Lecz niestety rada na tych rzeczach nie zna się zgoła, bo składają ją profesorowie etyki, prawa polskiego, chorób nerwowych, członkowie izby adwokackiej, lekarze specyaliści, polityczni przyjaciele dzienników, obradujący z wysokiego stanowiska nad przemysłem artystycznym, sprawą zbioru kamei oraz gemm, albo nakoniec nad zagadnieniami sztuk wyzwolonych, lub też wytaczający przed *forum* rady sprawy zawistnej, zaściankowej polityki, przywiązanej do pewnych osobistości. Wielekroć razy przyjdzie na stół sprawa praktycznego znaczenia, zawsze rada strzela bąki, śle delegatów za granicę do oglądania wzorowych kanałów lub fabryk gazowych, wyłania liczne komisye. Nieprawdopodobnie naiwne lub banalne uwagi jej członków odbijają się nieraz o cierpliwe belkowanie sali posiedzeń, nie dziwiąc żadnego z mieszkańców tej nowożytnej Abdery, gdzie do niedawna co wieczór przy każdej latarni gazowej, ciemnej i martwej, płonęła naftowa lampa, gdzie do teatru prowadzą drewniane drabiny, z zewnątrz poprzystawiane...

Na rogach ulic pojawiły się niedawno szerokie ogłoszenia, donoszące, że nowellą do ustawy przemysłowej 8 marca 1885 roku i rozporządzeniem ministeryalnem 27 maja 1885 roku wydano nowe przepisy, od dnia 11 czerwca 1885 roku obowiązujące, o zawieszeniu pracy w niedziele i święta w przedsiębiorstwach przemysłowych, a względnie o święceniu niedziel i świąt przez przemysłowców i ich pomocników. O znaczeniu i pozornem dobrodziejstwie tej reformy, dokonanej przez klerykalnych feodałów, rozpisał się już wyczerpująco wiedeński korespondent *Prawdy*. Lecz i w klasie robotniczej nie brak u nas ludzi przekonanych, że ustawę wydano w tym celu, by uniknąć za pomocą pół-środków konieczności stanowczego rozstrzygnięcia tysiąca głęboko w ustrój społeczny sięgających zagadnień. Ustawa, wykuta rzekomo na tle ankiety „robotniczego parlamentu,“ nie podoba się tym, których głównie dotyczy. Inaczej widać sądził pewien uczony profesor medycyny, kiedy na posiedzeniu krakowskiego towarzystwa lekarskiego wniósł, aby odpoczynek niedzielny zastosowano i do lekarzy. Jowialny wniosek odrzucono—a *Nowa reforma* dowcipną dała mówcy odprawę, dowodząc, iż odpoczynek niedzielny lekarzy musiałby być opłacany wiecznym odpoczynkiem chorych.

W związku ze sprawą ustawy przemysłowej stoi rozporządzenie, mające na celu zapobieżenie włóczęgostwu. Ogłosiły je nasze dzienniki, nie zastanawiając się zgoła nad jego doniosłością. *Czas* tylko ucieszył się, że próżniacy pójdą do kozy... i w ten sposób załatwiona zostanie kwestya pauperyzmu. A jednak nie godziło się sprawy brać lekko, bo jest to ustawa drakońska,

---

SCENA 8.

Ciż i Protagoras.

Protagoras.

Nie znajduję u was Fidyasza?

Aspazya.

Nie.

Protagoras.

Gdzie go znaleźć mogę?

Aspazya.

Wkrótce tu przybędzie.

Protagoras.

Skąd.

Aspazya.

Sam ci powie.

Protagoras (*z naciskiem*).

A jednak ty objaśnić mnie powinnaś — i to jak najprędzej.

Aspazya.

Czy mu co grozi?

Protagoras.

Gdzie on jest?

Aspazya.

Odprowadził Anaksagorasa do portu?

Protagoras.

Dziękuję (*odchodzi*).

Aspazya (*wstrzymując go*).

Protagorasie, czemu go szukasz?

Protagoras.

Jego posąg bogini Ateny zachwiał się na Partenonie.

Aspazya.

Nieprawda!

Protagoras.

Ja mam więcej czasu do stracenia, niż on, więc pozostanę chwilkę, ażeby cię uspokoić. Ale ty Eurypidesie, biegnij do portu i jeśli spotkasz Fidyasza, poradź mu, ażeby siadł na pierwszy odpływający okręt, bo jest oskarżony.

Aspazya.

Oskarżony? O co?

Eurypides.

Idę (*wychodzi*).

Protagoras (*który szepnął parę słów do Eurypidesa*),

O to, że posąg źle ustawił.

Aspazya.

I dlatego ma uciekać? Nie bałamuć mnie wykrętami. Fidyasza nie lubiłeś, jeśli więc go ostrzegasz, niezawodnie zawisło nad nim wielkie niebezpieczeństwo.

Protagoras.

Czy osioł, ciągnąc wóz ze smołą, zatrzyma się przed mędrcem, przechodzącym mu drogę? Nie, wywróci go i przejedzie. Trzeba być ostrożnym. Od niebezpieczeństw nie odgradza nas żelazna krata, lecz sitowiowy płotek. Rak zgubiony w kolei uczęszczanego gościńca nie jest mniej pewnym życia, niż najznakomitszy człowiek, zabezpieczony wszystkiemi prawami. Więc i Fidyasz...

Aspazya.

Dosyć. Za długo przygotowujesz mnie do wiadomości, która musi być potworną, skoro ją tak powoli odsłaniasz. Wolę ją usłyszeć odrazu (*ubiera się do wyjścia*).

Protagoras.

Dokąd idziesz? Zaczekaj — powiem ci (*po chwili wahania się*). Fidyasza — kiedyś nie lubiłem, dziś pragnę go tylko — ocalić (*wchodzi Perykles*).

(D. c. n.).

gwałcąca ciężko ducha dzisiejszych dążeń społecznych, pogarszająca mocno dolę tych wszystkich, którzy zasiadają na najniższym, szarym końcu stołu ludzkości, a nie zawsze wiedzą, czy jutro potrafią sobie na miejsce przy tym stole zapracować. Ustawa posiada nad nimi nieograniczoną władzę—dozwala na srogie nadużycia przy dosłownem pojmowaniu litery. Słusznie żalił się ongi Łazarz niemieckiego satyryka: *Wer nur wenig hat—Dem wird auch das wenige genommen.* Mimowoli na myśl przychodzi głośna sprawa, której widownią był Wiedeń, a która przytrafiła się w zeszłym roku, kiedy nawet ustawy o włóczęgach jeszcze nie było: Biedna dziewczyna rodem z Galicyi służyła w pewnej restauracyi. Bogaci chlebodawcy podejrzywali ją o miłostki z synem, a chcąc jej się pozbyć, wydali w ręce policyi, jako osobę niemoralną i pozbawioną zajęcia. Ofiara ściśle pojętej ustawy odebrała sobie życie wystrzałem rewolwerowym, stojąc na progu izby aresztanckiej, zanim ją ręka organu policyi popchnęła w głąb jaskini brudu i nierządu.

Bardzo też na czasie zrodziła się na krakowskim gruncie myśl piękna i pożyteczna. Arcybractwo miłosierdzia i Banku pobożnego na ostatniem miesięcznem posiedzeniu miało sobie przedstawiony wniosek jednego z członków w przedmiocie budowy — z funduszów własnych — domu, w którymby uboga ludność miasta znalećć mogła zdrowe i tanie pomieszkania. Wywiązała się dyskusya a wynikiem jej był wybór komisyi, która rozpatrzy poruszony projekt i niedługo przedstawi arcybractwu swe zdanie. Nie brak u nas dobrych chęci, lecz jest to niestety wyciąganie pigmejskich ramion naprzeciw ciężarom, tytanicznej wymagającym siły—a zaniedbywanym sumiennie przez „braci śpiących" naszej reprezentacyi parlamentarnej.

Jałowa pora letnia sprzyja pomyślnie rozwojowi młodego towarzystwa gimnastycznego p. n. Sokół. Myśl, rzucona w roku zeszłym podczas odwiedzin czeskich Sokołów w Krakowie, długo czekała na ziszczenie. Zrazu zachwyt był ogromny—piękny strój czeskich gości zapalał wyobraźnie—myśl wycieczki do Pragi spać nie dawała ochotnikom. Ale namiestnictwo długo trzymało statut, i zatwierdziło go dopiero w marcu bieżącego roku. Przez czas tak długi—jak kilka miesięcy—ważniejsze sprawy wietrzeją w Krakowie. Cóż dziwnego, że i Sokół tracił powoli miłośników. Z drugiej strony inny, widomy *Czas* robił, co mógł, by ludzi odstraszyć od nowego towarzystwa, bo obawa przed silnym związkiem, z natury swej demokratycznym, budziła ze snu domorosłe gęsi kapitolińskie. Nareszcie pokonano wszelkie trudności i Sokół rozpoczął życie pod rządami wydziału, na którego czele stanął Michał Bałucki. Dzięki ofiarności obywatelskiej uzyskano miejsce do ćwiczeń, ustawiono przyrządy i po wielu a wielu zabiegach, cofaniach i niesnaskach przystąpiono do spełniania pierwszego warunku towarzystwa, do ćwiczeń gimnastycznych. Odbywają się one codziennie pod kierunkiem dwóch nauczycieli, z których jeden jest uczniem nieodżałowanego dr. Żulińskiego, głównego krzewiciela nauki ćwiczeń cielesnych w Galicyi. Nieocenione korzyści dla miasta tkwią w tych męskich zabawach, odbywanych pod gołem niebem. Ludzie rozmaitych warstw spotykają się ze sobą przy zabawie, ocierają się o siebie, zapoznają wzajemnie, pozbywają uprzedzeń kastowych i tracą powoli przesądy, których w nas zawsze było zadużo, nawet wśród najmniej przesądnych. Kto wie, może Sokół krakowski zdoła z czasem przeciwstawić świetnie i karnie zorganizowanemu obozowi konserwatystów—stronnictwo demokratyczne, postępowe, solidarne i zwarte. Byłoby to nieocenionym zwrotem w publicznych dziejach naszego miasta, które strasznie cierpi przez marnowanie się dzielnych nieraz sił, samopas chodzących.

Przed niedawnym czasem zagroziła miastu obawa utraty jednego z najpiękniejszych zbiorów polskich, Muzeum Ks. Czartoryskich. Zbiory te zawierające nieocenione skarby sztuki, pamiątki przeszłości, rękopisy—pochodzące przeważnie ze zbiorów puławskich, a przytem olbrzymią bibliotekę, przystępne były od lat kilku dla publiczności i dostarczały uczącym się obfitego materyału. Siedzibą ich jest dotychczas gmach położony przy bramie floryańskiej, będący własnością miasta.

Książę Władysław Czartoryski, zamierzając utworzyć ze zbiorów majorat, pragnął gmach ten nabyć na własność, a nadto rozszerzyć sale biblioteczne i obok pałac własny postawić. Miasto oparło się tym zamiarom, nie chcąc a raczej nie mogąc pozwalać na rozebranie części starych murów miejskich, co koniecznem byłoby w razie podjęcia zamierzonych przez właściciela Muzeum budowli. Wskutek tego zbiory miały być przeniesione do Gołuchowa w wielkiem księstwie Poznańskiem, gdzie hr. Działyńska, siostra księcia Czartoryskiego wystawiła wspaniały gmach. Na szczęście zdołano powstrzymać sprawę w toku i uratować przez to zbiory od usunięcia w ustronie, dla ogółu niedostępne. Jak słychać—podobno władze miejskie powierzyły rzecz całą ludziom wpływowym i ożywionym dobremi dla sztuki chęciami, upoważniając ich do wszystkich możliwych ustępstw za cenę pozostawienia drogiego skarbu w murach Krakowa.

M.

SZTANDAR ZE SPÓDNICY.

Każdy z czytelników rodzaju męskiego, chociażby był najgorętszym wielbicielem kobiet, przyzna zapewne, że te „anioły ziemi" bywają nieznośne w podróży, w licznych zebraniach, na ulicy, słowem wszędzie, gdzie wyłamują się choć w części z pod wymagań względów towarzyskich. W wagonie „piękna" towarzyszka podróży zajmuje bez ceremonii tyle miejsca, ile jej się podoba, zawiesza nad głową twoją niezliczoną ilość woreczków i pudełek, z miłą poufałością opiera się całym ciężarem podczas snu o twoje ramię; na koncercie lub odczycie toruje sobie drogę wśród ciżby, depcąc po nogach i przeszkadzając słuchać zebranym. Jeżeli niebacznie opuścisz na chwilę miejsce, zajmie je bez pytania, nawet numerowane. Na ulicy potrąca sparaliżowanych starców i zrzuca przechodniom kapelusze parasolką. Wszystkiego zaś tego dokonywa z miłą bezczelnością, z naiwnem zuchwalstwem, z głębokiem przekonaniem, iż jej jako kobiecie mężczyzni przebaczyć i ustąpić powinni.

Ta zuchwałość rozpieszczonych niewolnic najnieznośniejszą jest jednak w literaturze. Całe gromady „wykształconych" pań i panienek, wyrobiwszy sobie styl na wypracowaniach pensyonarskich, na dzienniczkach lub wierszykach w albumie, poświęcają swój czas (kobieta zawsze poświęca się) wzbogaceniu piśmiennictwa polskiego mnóstwem nowel, nowelek i obrazków. Dzięki „miłej bezczelności" utwory te wychodzą w druku, chociaż brak im sensu i znajomości gramatyki i pisowni. Tyle tam myśli, ile zmieścić się może w małej, ufryzowanej główce; serce słabo bije pod ciasnym gorsetem, a wszystko to wypowiedziane szepleniącym szczebiotem, codzonemi przez zasznurowane wargi półsłówkami. Rozmaite Marie, Magdaleny, Elwiry, Maranthosy itd , cała ta wyjątkowa nędza literacka, to wesołe i obdarzone dobrą pamięcią papużki, które powtarzają cudze myśli, cudze zdania, cudze obrazy, przedrzeźniając je w swym ptasim świegocie. W utworach tych nie znajdziesz nic nowego, nic żywego, żadnych spostrzeżeń, żadnych rysów kopiowanych z natury, ale jedynie oklepane ogólniki, przerobione aforyzmy, sto razy powtarzane szablony.

Do tej kategoryi należą i *Akwarelle* p. Śnieżko-Zapolskiej *), chociaż pozornie różnią się wielce od zwyczajnych wypracowań „utalentowanych" pań i panienek. Różnica polega na tem, że autorka posiada temperament gorętszy, że warunki jej życia (p. Zapolska jest aktorką) zrobiły ją śmielszą, pewniejszą siebie, mniej krępującą się przepisami dobrego tonu. Nie rozszerzyły one jednak widnokręgu jej pojęć, nie uzdolniły do czynienia spostrzeżeń, chociaż w życiu artystki nie braknie sposobności do tego.

P. Zapolska w swoich utworach literackich jest także aktorką i niczem więcej tylko aktorką lub reżyserką, ustawiającą na scenie maryonetki i manekiny. W dodatku jest ona aktorką złej szkoły, aktorką prowincyonalną, pełną fałszu i przesady. Nie mówiąc już o wytwarzaniu sztucznych sytuacyj, przyzwyczajenia teatralne odbijają się nawet na przedstawianiu ludzi i życia sfery towarzyskiej, którą autorka zna dobrze, którą mogła obserwować dokładnie. Hrabiowie jej utworów mówią i chodzą jak kochankowie ogródkowi, damy światowe, kiedy się zejdą w salonie, zupełnie jak liche aktorki na mało miasteczkowej scenie, siedzą, „kiwając głowami," aż „pióra u kapeluszy szeleszczą," a młode panienki nieumiejętnie naśladują minki i szeplenienie „naszych naiwnych" lub patos pierwszej kochanki.

Ale te właśnie grube efekty, zastosowane do gustów nie wykształconej estetycznie publiczności, zapewniły utworom p. Śnieżko-Zapolskiej względne powodzenie. Ci sami, którzy oklaskują w teatrze piskliwe krzyki, konwulsyjne kurcze lub przesadne wykrzywiania się aktorek, okażą taki sam zachwyt, jeżeli te sztuczki i łamańce znajdą w odmiennej nieco formie powtórzone na kartach książki. Zresztą *klaka* także urządzona była jak się należy. Mniejsza o to: czy postarał się o nią przedsiębiorca, czy też debiutantka lub jej wielbiciele, ale cały zastęp usłużnych piór reklamował *Akwarelle* na różny sposób. Pomiędzy oklaskami słychać było czasem umyślne gwizdania, które dodawały tylko zapału klakierom. Jeden z wielbicieli talentu p. Zapolskiej, kiedy nikt jeszcze nie odezwał się słówkiem o jej utworach, przepowiedział już z góry, że „pozioma zawiść" postara się obniżyć ich wartość.

Do rozgłosu przyczyniła się nie mało ta jeszcze okoliczność, że arystarchowie kuryerkowi, którzy wiadomości swoje o zasadniczych cechach różnych kierunków literackich czerpią zwykle od kumoszek, nazwali p. Zapolską—naturalistką. Nie jestem wielbicielem naturalizmu, ale w danym wypadku stanąć muszę w jego obronie. P. Zapolska zmusza kilkakrotnie swoją bohaterkę do pokazywania kolan—rozumie się czerwonych i brudnych, do obnażania piersi—rozumie się jędrnych i białych, i do wystawiania bioder, nazywając wszystkie te części ciała właściwem mianem. Jest to jedyny punkt wspólny z naturalizmem. Autorka jest romantyczką najczystszej wody, z wybitną skłonnością do histeryi: właściwie w jednej tylko powiastce, w osławionej *Małaszce* używa kilku pseudo-naturalistycznych efektów.

Na czele zbiorku stoi studyum (!) zatytułowane *On.* Jest to niby list doświadczonej mężatki do młodej pensyonarki, w którym pierwsza poucza drugą o tem, jakim jest

*) Warszawa, 1885.

mężczyzna. List ten—to szereg luźnych paradoksów, źle związanych i mało dowcipnych, które poprzednio nie jednokrotnie wygłosili już mężczyzni o kobietach. Autorka bierze pierwszy lepszy aforyzm i odwraca tego kota ogonem, ale w tej pozycyi niewłaściwej zdanie traci zwykle całą wartość, bo zamiast ostrych zębów i pazurów wysuwa się na pierwszy plan miękki i gładki ogon.

„Ja mam jedno słowo na określenie mężczyzn"—powiada p. Z.—są to dorosłe dzieci. Zdanie oryginalne, tylko że już dawno wygłoszone o... kobietach, i to nie na podstawie kilku przykładów, ale na zasadzie obserwacyi umiejętnej. Każdy, kto czytał dzieła uczonych socyologów, pamięta ten stereotypowo powtarzający się frazes „dzicy, dzieci i kobiety" itd. Ponieważ *on*—to dziecko, więc „nie bierz nigdy jego słów na seryo," bo „to istota próżna i nadęta jak bańka mydlana" on—to egoista „ale niewdzięczność mu nieznana." Nie będę wypisywał tych dziwacznych aforyzmów, przytoczę jeden tylko jeszcze, który jest niejako wyrazem przekonań autorki, chociaż nie wiąże się z innymi: „Najgłupszy mężczyzna jest mądrzejszy od najrozumniejszej kobiety." Jak słusznie zauważył jeden z krytyków, samo wypowiedzenie tego zdania przez wykształconą kobietę zawiera w sobie pewną siłę dowodu na jego korzyść. Aforyzm niedorzeczny w tej formie, w jakiej został wygłoszony, jest prawdziwym, jako stwierdzenie faktu, że w porównaniu z kobietą mężczyzna stoi na wyższym szczeblu duchowego i fizycznego rozwoju. W tem znaczeniu można powtórzyć za panią Zapolską: „to fakt i żadna emancypacya tu nie pomoże."

Człowiek może wyobrazić sobie, że tak powiem—pojąć małpę, odtworzyć sobie sposób jej myślenia, czucia itd., dlatego że posiada wszystkie te cechy co i ona, *plus* inne jeszcze, wyższe i bardziej złożone, a między niemi zdolność do abstrakcyi, która pomaga mu w tem właśnie. Mężczyzna więc może pojąć i odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach charakter kobiecy, ale kobieta, podobnie, jak ludy pierwotne, które nadają bogom np. swe zewnętrzne i duchowe właściwości, przedstawia sobie mężczyznę tylko „na obraz i podobieństwo swoje." Dlatego to *on* p. Zapolskiej tak jest do *niej* podobny. Dlatego to jest „skończoną kokietką" „lubi pasyami plotki i ma zawsze spory ich zapasik" i jak wszystkie histeryczki lubi jednocześnie „zapach papierosów i heliotropu," a bardziej jeszcze „woń stajenną." Oprócz tych odwróconych aforyzmów—inne zdania, to zwyczajne niedorzeczności na staropanieński temat: ach ci mężczyzni—to potwory. Ze względu na krytyków widocznie, p. Zapolska zastrzega, że określenia jej nie stosują się do ludzi pracy i inteligencyi.

Pierwszy pocałunek nazywa się obrazkiem z życia. Tutaj uwydatnia się zamiłowanie autorki do urządzania sytuacyj melodramatycznych. Pomiędzy robotnicami, pracującemi przy budowie kamienicy, które „zatraciły w sobie wszystko, cokolwiek mogły mieć kobiecego,"—a mówiąc nawiasem jest to niedorzecznością—znajduje się jedna tak poetyczna i sentymentalna, że mogła by grać rolę „kopciuszka" w melodramacie." Gałązka jaśminu odpędza ona muchy z twarzy ukochanego, który zasnął pod płotem: czuły kawaler zachwycony tym dowodem przywiązania, odpowiada jej wzajemnością i jak grzeczny salonowiec pyta: czy ona pozwoli odprowadzić się do domu? Potem daje Marysi czerwoną różę i oświadcza się o jej rękę. W wigilię ślubu Pawłowi zachciało się pocałować narzeczoną, ale dogadzając aktorskim zamiłowaniom p. Zapolskiej nie czyni tego w sposób zwyczajny. Kiedy Marysia stoi na rusztowaniu drugiego piętra, Paweł spuszcza się po sznurze z trzeciego i wisząc w powietrzu dotyka ust kochanki. Rozmarzony pocałunkiem, puszcza sznur, spada na ziemię i zabija się. Potrzeba, doprawdy, mieć strasznie chorobliwą wyobraźnię, żeby coś podobnego wymyśleć.

Nakoniec sami, dopełnienie do obrazu Tofany, znanego z licznych reprodukcyj, jest może najlepszym utworem autorki. Przedstawia tu ona scenę poślubną, w której młodej, rozkochanej, drżącej z wzruszenia i ciekawości co to będzie—dziewczynie, mąż robi wyrzuty, że dostał za mały posag. *Łza*—to wyznanie młodej, nie kochanej przez męża kobiety, którą, kiedy spieszyła na schadzkę zwróciła na drogę obowiązku łza dziecka. Temat nie nowy i niejednokrotnie z daleko większym talentem wyzyskany. *Za jedną gwiazdkę* i *Kocham cię* to szeregi obrazków, połączonych nie tak treścią, jak wspólnością końcowego frazesu, *Jeden dzień z życia róży*, nowelka, w której autorka opowiada historyę kwiatka danego przez młodą panienkę narzeczonemu. Różę tę młodzieniec oddał swej byłej kochance, żonie bankiera, finansista zabrał ją z buduaru małżonki i ofiarował woltyżerce cyrkowej, a ta znowu p. Gustawowi, owemu narzeczonemu, który wieczorem powrócił do swej Adelki z darowanym mu rano kwiatkiem. *Bukiet kamelii* równie nieprawdopodobna i sentymentalna historya. Szwaczka przynosi suknię bogatej pani, który podczas przymierzania stroju odbiera bukiet a w nim bilecik. Przeczytawszy list, zapala papier i rzuca na ziemię. Grzeczny ogień opalił tylko brzegi, tak, że gdy szwaczka schwyciła liścik, wyczytała treść jego. Ten, który uwiódł biedną dziewczynę, w bileciku tym naznaczał bogatej pani schadzkę na balu. Szwaczka, dziewczyna skromna, która rozumie swoje podrzędne stanowisko, ażeby zrobić przyjemność p. Zapolskiej i dać jej sposobność do wygłoszenia kilku frazesów—umiera.

We wszystkich tych powiastkach nie ma wcale nawet czerwonych kolan, ani wystających bioder, jest tylko kilka „ryzykownych" wyrażeń, które uchodzą w salonie, zwłaszcza w ustach mężatki. Wszędzie p. Zapolska przedstawia się jako romantyczka, więcej powiem, jako osoba romansowa, której rozkiełznana wyobraźnia, bawiąc się wymarzonemi postaciami, nadaje im pozy nienaturalne i stawia je w położeniach dziwacznych. Miłość stanowi treść wszystkich prawie nowelek, nie jest to jednak uczucie naturalne, zdrowe, ale chorobliwe jego zboczenia. Powiem więcej, autorka nie zna wcale tego uczucia, chociaż nie mogę na pewno określić, czy brak jej doświadczenia, czy też umiejętnej analizy.

We wszystkich prawie utworach p. Zapolska występuje sama jako bohaterka. Może to być dowolny sposób pisania, ale widoczne są reminiscencye przeżytych uczuć i zdarzeń. Mniejsza zresztą o to, kto jest bohaterką tych utworów—nam idzie tylko o odtworzenie jej fizyognomii duchownej.

Młoda dziewczyna wychowana w klasztorze (opisy życia i wychowania klasztornego stanowią najlepsze kartki *Akwarelli*) pokochała *go* sentymentalną miłością. Teraz oto *nakoniec sami*, ale on okazuje się przeżytym egoistą, zwyczajnym łowcem posagowym. Zawiedziona w swoich uczuciach młoda kobieta szuka pociechy, lecz *łza* dziecka zatrzymuje ją na drodze obowiązku. Zresztą ci pocieszyciele, to także egoiści, lalki—to *oni* jednem słowem. Temperament gorący dopomina się jednak o swoje prawa. Miłość jest nie tylko roskoszą ducha, ale i potrzebą organizmu, której pogwałcenie mści się rozstrojem nerwowym, histeryą, marzycielstwem, zwłaszcza, że wychowanie klasztorne dało podkład do tych objawów psycho-patologicznych. Czasem znowu popędy zmysłowe występują otwarcie. W takich chwilach bohaterka pojmuje miłość jako proste obcowanie istot różnopłciowych, i przestrzegając młodą przyjaciółkę przed urokiem owocu zakazanego, powiada, jak zwyczajna kobiecina, która jest tylko kawałkiem mięsa: „mąż twój da ci *to samo* bez trwogi i niebezpieczeństw, bez upadku itd." Otóż właśnie kwestya: czy *to samo*. Praktyczna autorka sądzi, że „poezyę możesz sobie wytworzyć," a jakim sposobem, na to przepisy znajdują się w nowelkach, szkoda tylko że rozproszone. Rozkoszne buduary, oświetlone przyćmionemi lampami, miękkie otomany, woń kwiatów egzotycznych lubieżne lub dziwaczne pozy itd. „Tylko uważaj te chwile jako antrakt i podnoś czemprędzej kortynę" radzi p. Zapolska—tu spuśćmy zasłonę, bo podczas tego manewru świadkowie są niepotrzebni.

Sławę realistki zjednała autorce *Małaszka*. Młoda dziewczyna ukraińska, ambitna i próżna dąży wszelkimi środkami do nasycenia swej żądzy panowania i użycia. Żeby zbliżyć się do dworu, wychodzi za lokaja i w parę tygodni po ślubie z egzaltacyą właściwą damie cierpiącej na histeryę, oddaje się młodemu hrabiemu. Później porzuca męża i jedzie do Warszawy jako mamka małego hrabiątka, ale ponieważ jaśnie wielmożny kochanek zapomniał o niej, pragnie zemścić się, kusi go więc na nowo za pomocą wyrafinowanej kokieteryi. Pewnego razu w nocy budzi hrabiego i jego żonę, pod pozorem że dziecko chore, ale właściwie dlatego, żeby pokazać się w roskosznym negliżu i według recepty Zoli, każe klękać hrabiemu na pieluszkach dziecka. Kiedy kochanek okazał się posłusznym, mamka naznacza mu schadzkę. Żeby pozyskać swobodną chwilkę Małaszka poi dziecko wódką, maleńki hrabicz wskutek tego umiera i mamkę wypędzają sromotnie. Powraca więc do domu i tu zastaje męża, który po jej ucieczce i śmierci dziecka zwaryował. Szaleniec chce zabić niewierną, ale z wielkiego gniewu pada zemdlony na ziemię, łuczywo płonące, źle przytwierdzone zsuwa się i zapala chatę. Małaszka ucieka, ale przypomina sobie, że zostawiła czerwoną, jedwabną spódnicę, wraca po nią, tymczasem dach zawala się i grzebie oboje małżonków.

Realizm tej cudacznej powieści polega na tem, że Małaszka prezentuje po kolei to kolana, to biodra, to piersi, to wreszcie inne wdzięki, których wszakże śmiała autorka po imieniu nie nazywa. Hrabia, klęczący na pieluszkach, to także efekt naturalistyczny. Niemowlę w kilka godzin po urodzeniu uśmiecha się, chłopi wracając z roboty wchodzą całą gromadą do karczmy i upijają się jak bydlęta—nie tylko mężczyzni ale kobiety i dziewki, panowie polscy jeżdżą *tarantasem* a na weselu ukraińskiem drużki śpiewają piosenkę, którą ciekawy czytelnik znaleść może w zbiorze pieśni obrzędowych, zebranych w gubernii twerskiej i to *nota bene* śpiewają w czystym języku rosyjskim, tylko zwyczajnie jak małorusini, przekręcają trochę wymawianie:

Raztupisa, raztupisa (razstupisia)
Mat syra zemla
Razkalisa grobowa doska (raskolisia)
Probudisa rodnoj batiuszka
Mnie nie godok u was godowat'.

Toż to by się ucieszył *Kijewlanin*, gdyby posłyszał jak ukraińcy wymawiają twardo *sia* i *g*. Dodać trzeba, że imię zdrobniałe *Małaszka* jest rosyjską formą, po małorusku zaś mówią *Małanka*. Czytelnikowi, którego dziwi zapewne ten oryginalny realizm polskiej autorki, winniśmy odkryć sekret: *Małaszka* jest nieudatną przeróbką rosyjskiej powieści, drukowanej w jednem z pism wychodzących w Charkowie. P. Zapolska zapomniała o tem powiedzieć.

Widocznie zresztą, że autorka ma krótką pamięć, nie zaznaczyła bowiem także, iż

obrazek *Gdybyś ożyła* jest przeróbką z francuskiego, przeróbką tak bliską do oryginału, że nudny formalista nazwał by ją plagiatem.

Styl tych utworów odpowiada treści, jest on przesadny, pretensyonalny, zanadto błyskotliwy. Język wogóle staranny i poprawny, kuleje czasem wraz sensem, kiedy autorka stara się być dowcipną: Wtedy „spojrzenie powłóczyste“ bywa „pokryte pancerzem czarnej kamizelki“ wtedy autorka opowiada, „znałam człowieka olbrzymiej inteligencyi i talentu, było to coś nakształt Hejnego“ itd.

Pani Zapolska nie jest pozbawioną zupełnie talentu pisarskiego i wielu autorów lub autorek zaczyna gorzej jeszcze. Ale w utworach ich tętniło życie i zapał zdrowej młodości, nie zaś wybryki kapryśnej wyobraźni, przebijała w nich wiara młodzieńcza, kiedy w *Akwarelach* widzimy tylko zarozumiałość. *Marta* Orzeszkowej jest powieścią słabą, ale autorka podniosła w niej sztandar idei, około którego zgrupowali się jej zwolennicy, p. Zapolska zamiast chorągwi wywiesiła czerwoną spódnicę, pod takim znakiem odbywać się mogą tylko zapasy miłosne młodych byczków.

Wiat.

Paweł Bourget.

Et qui, sombres forçats de leur bagne natal,
S'epuisent á créer le moderne idéal.
Je suis l'un d'eux. Ce temps mauvais et fou,
. [je l'aime,
Il me tient, je me sens trop son enfant soi—
[meme... *).

Paul Bourget

I.

Poeta, który w wierszu poświęconym druhowi po lutni, Leconte'owi de Lisle, przedstawiał się z taką otwartością, nie na poetyckiej jednak arenie zdobył zasłużony rozgłos i uznanie. Wyszedł wprawdzie w roku 1875 tom poezyj Bourgeta, zatytułowany *La Vie inquiète*, z niespokojnie atoli rzucanych tam listków natchnienia niepodobna uwić nawet skromnego laurowego wieńca. Nie jest także dostatecznym tytułem do literackiej zasługi kilka, wydanych dotąd przez młodego autora, powieści i nowel. Dopiero szereg studyów literackich, drukowanych kolejno w *La Nouvelle Revue* i ogłoszonych następnie (w. r. 1883) osobno p. t. *Essais de Psychologie contemporaine*, postawiły Bourgeta na pierwszem miejscu w szeregu młodych krytyków społecznych we Francyi.

Rozbierzmy pokrótce wszystkie płody pisarskiej twórczości młodego autora, poczynając od jego studyów krytycznych.

Tom studyów Bourgeta zawiera sylwetki Baudelaire'a, Renana, Flauberta, Taine'a i Stendhala. Nie są to w ścisłem znaczeniu tego słowa literackie portrety. W psychologicznych tych zarysach, napół socyalnych, napół literackich, jak się sam autor wyraża, szukał on „idej ogólnych“ i „szerokich hipotez“ naszego czasu, w szczegóły zaś biograficzne zapuszczał się tylko o tyle, o ile mu to było potrzebne do uwidocznienia ogólnych dążeń epoki, tkwiących w dziełach owych pisarzów. Jeżeli chodzi tu o psychologię, to raczej o psychologię społeczną, niż indywidualną.

Czytelnik — pisał Bourget na wstępie do tych studyów — nie znajdzie w nich tego, co się zwykle nazywa krytyką literacką. Utwory literackie są rozbierane na tych kartkach tylko jako wydatniejsze przejawy usposobienia, nastroju i dążeń naszego czasu. Usiłowaniem mojem—mówi dalej — było podać niektóre wskazówki historykowi życia moralno-umysłowego w drugiej połowie XIX wieku we Francyi. Na wytworzenie tego życia składa się wiele czynników; jednym z nich jest literatura, czynnik dziś może najpotężniejszy, gdy bowiem słabną coraz bardziej wpływy tradycyjne i miejscowe, książka staje się wielką inicyatorką zbiorowego życia. Dlatego też krytyk stara się, na tle ogólnych dążeń epoki, nakreślić komentarz do dzieł, które znajdują się dziś w ręku młodego, francuskiego pokolenia i na wyrobienie jego przekonań wpływają.

Komentarz ten nie powinien być obojętnym i dla nas, chociaż bowiem życie moralno-umysłowe w każdym kraju płynie właściwem sobie korytem, to jednak istnieje ciągłe oddziaływanie wzajemne, większe przytem ogniska cywilizacyi wywierają wpływ na mniejsze i mniej samodzielne, tak, że duchowa atmosfera Europy jest prawie wspólną. Co do nas wreszcie, to literatura francuska oddziaływać na nas nie przestaje, mamy więc blizki interes w głębszem jej rozumieniu.

Paweł Bourget jako krytyk, powieściopisarz i poeta należy do epoki, która, rozpoczęta po poronionych usiłowaniach rewolucyi 1848 i romantyzmu, wydała Taine'a i szkołę naturalistyczną. Rozkwit jej przypada na czas po wojnie 1870 r., z jednej bowiem strony— odżyły motywa wewnętrzne z poprzedniej rewolucyjnej porażki, z drugiej — pisarze tego kierunku dojrzeli i sięgnęli szczytu swej artystycznej twórczości. Dziś epoka ta, zawiodłszy wiele nadziei, ma się ku schyłkowi. Doprowadziła ona, postawione pierwotnie, zasady w filozofii, literaturze i krytyce do ostatnich konsekwencyj — przyszła, wyrażając się językiem metafizyki niemieckiej — do zupełnej świadomości samej siebie, rezultatem jednak tej świadomości jest zupełny eklektyzm w kwestyach zasadniczych, równający się bezprzekonaniowości i umysłowemu zamętowi, w literaturze zaś zniechęcenie, niemoc i pesymizm, otwierający drogę mistycyzmowi... Dzieckiem tego więdnącego okresu jest właśnie Bourget. Jako należący do lat końcowych przeżytego przez Francyę okresu, kiedy sceptycyzm zaczyna swe dzieło zniszczenia i słabnie wiara, jaka ożywia przywódców dawnego ruchu, młody krytyk widzi jaśniej i głębiej całą przebieżoną drogę, obecne i dalsze jej mety. Bourgeta też nie zaślepia dogmatyzm szkoły, do której się zalicza, patrzy on jasno i krytycznie, sam jednak plącze się i wikła, zmuszony wyznać, że brak mu nowej, szerokiej syntezy, że jest, niestety „dzieckiem swego czasu,“ który go więzi i niepozwala sięgnąć po nowy ideał. Nowy zwrot zresztą zaczyna się od bezlitośnej krytyki poprzedniego kierunku, on zaś kocha ten swój czas i ostro napadać nań nie miałby serca — może tylko wypowiadać swe obawy i zwątpienia w tonie melancholijnym i smutnym, może tylko stan rzeczy obecny zaznaczyć i uwidocznić, co jednak samo przez się jest już krokiem naprzód ku nowym ideałom. Bourget stoi wobec niezwykle złożonych i powikłanych zagadnień; nie rozstrzyga ich wprawdzie, przyczynia się jednak niepospolicie do ich wyjaśnienia, posiadając subtelny dar spostrzegawczy i umysł nadzwyczaj wyrobiony.

Dla łatwiejszego zrozumienia stanowiska zajętego przez młodego francuskiego krytyka zaznaczamy przygodnie, że okres literacko-umysłowy, który się rozpoczął we Francyi po roku 1850, odpowiada naszemu postępowemu kierunkowi po roku 1863. Są podobieństwa, są oczywiście i różnice. Do podobieństw należy znany wpływ Taine'a i pozytywnej filozofii na naszą krytykę, literaturę i publicystykę, poczynający się od początku siódmego lat dziesiątka. Różnica leży już w tem, że pokrewny okres w naszem życiu umysłowem rozpoczął się o 20 lat później od francuskiego a przez to jest o tyleż lat od niego młodszy. Życie nasze przytem, poprzednie literackie tradycye i specyalne warunki bytu kładą swe odrębne piętno na objawach życia duchowego. W każdym razie zagadnienia analogiczne nie są tak powikłane i przejrzałe jak we Francyi. Być może, iż obecny nasz okres literacki ustrzeże się jednostronności, zboczeń i błędów, które wychodzą już na jaw nad Sekwaną — ponieważ jednak też same założenia do jednakowych wniosków prowadzą, dobrze więc korzystać z doświadczenia nabytego przez starsze społeczeństwo, ażeby omyłek jego nie powtarzać i w własnym rozwoju szczęśliwie ominąć te skały podwodne, które zagrażają rozbiciem.

Szczegółowe sprawozdanie z badań krytycznych młodego francuskiego pisarza przedstawia pewne trudności. Bourget bowiem porusza w swych *Essais* niezwykle wiele zagadnień, których niepodobna przedstawić w paru wierszach. Przytem nie zajmuje on ściśle określonego, zasadniczego stanowiska, co zadanie sprawozdawcy jeszcze bardziej utrudnia. Wykład nie jest jednolity. Autor, śledząc za pewnemi umysłowemi dążeniami, notuje je przy rozbiorze każdego pisarza, przez co ogólne tło swych zapatrywań rozrywa. Stąd wynika, że musi powtarzać i ważniejsze kwestye poruszać czasami zaledwie mimochodem. Charakterystykę każdego z pisarzy podzielił na pojedyncze rozdziały, w których rozbiera oddzielnie wybitniejsze składowe pierwiastki ich talentu i działalności literackiej, w następstwie czego obraz znów się rozbija na szczegóły i zmusza autora do powtarzań w ramach jednego nawet szkicu. Dalsza trudność wynika z tego, że kwestye zasadnicze poruszane przez Bourgeta nie są u nas tak przejrzałe jak we Francyi, wątpliwości więc przezeń nasuwane wymagałyby obszernych omówień, dla zupełnego wyjaśnienia.

Omijając te szkopuły, postaramy się dać czytelnikom naszym bliższe pojęcie o zawartości tych *Zarysów psychologii współczesnej*.

(D. c. n.).

LIBERUM VETO.

Nasz hymn ekonomiczny w operetce Ofenbacha. — Wystawa ogrodnicza i nasi ogrodnicy. — Walka z naturą w ogrodach. — Stare przesądy. — Przemiany w oddaleniu. — Kosztowne letnie mieszkanie. — Tęcza nad głowami pp. Fajansa i Górnickiego. — Dzieje apostolstwa. — Niemieckie mydło wobec polskiego. — Do czego jesteśmy zdolni, a do czego nie.

Trapieni słotami uważalibyśmy lato za skończone, gdyby nasza najświeższa chluba narodowa, Towarzystwo wioślarskie, nie urządzało na Wiśle zabaw, i gdyby wystawa ogrodnicza ciągle nie „zapowiadała się świetnie.“ Pierwszym dowodem jej świetności jest to, że ogrodnicy zwłóczą z deklaracyami lub wcale nie chcą w niej brać udziału. Któż w tem nie dojrzy naszej swojskiej cnoty, dla której, jak gdyby stworzoną była zwrotka śpiewu żandarmów z operetki Ofenbacha! „My zawsze tak spóźniamy się“ —do teatrów, na koncerty, odczyty itd. Jeżeli w Warszawie istotnie założoną będzie „morga“—wystawa trupów znalezionych a nieznanych z nazwiska—tam nie będziemy się spóźniali, lecz codzień jeszcze przed otwarciem oblężomy ją tłumnie. Co innego wystawa—

*) I kto—nędzni kajdaniarze rodzimej katorgi wysilają się na stworzenie nowoczesnego ideału! Jestem jednym z nich. Czas ten zły i szalony —kocham, trzyma mnie on, sam czuję się aż nadto jego dziecięciem.

zwłaszcza ogrodnicza. Szczerze mówiąc, kto ma w niej uczestniczyć! Przedewszystkiem powinniby wystąpić kmiotkowie, którzy uprawiają a raczej oprawiają przydrożne drzewa owocowe i „pańskie" ogrody, obłamując dla kilkudziesięciu wiśni całe gałęzie, które potem rzucają po gościńcach; dalej żydki, dzierżawcy sadów, którzy gospodarują w nich jak burza; dalej ogrodnicy dworscy, obowiązani do zaopatrywania kuchni dziedzica w nowalie i warzywa, utrzymywania kwitnących klombów przed „pałacem" i wysypywania ścieżek żwirem; wreszcie, najmniej liczni, specyaliści. Pomijając wyjątki, ogrodnictwo nasze jest walką grabieży ludzkiej z płodnością natury. Trudno bez smutku patrzeć na niedbalstwo lub—co gorsze—na prawdziwy wandalizm naszego ludu, niszczącego dla kilku owoców lub jagód całe drzewa i krzewy a niewynagradzającego tych szkód żadną pracą. Warszawa otoczona jest wiankiem t. z. kacapów, którzy przybywają na lato z odległych gubernii Cesarstwa dla wydzierżawiania tutejszych ogrodów. Proszę zważyć: takiemu „kacapowi" opłaca się daleka podróż, ponosi on zwiększone koszta krótkiego pobytu na obcej ziemi, a my, nie umiemy wyzyskać tego, co mamy pod nosem (porównanie niedość ścisłe, bo wąsy wyzyskiwać umiemy).

W takich stosunkach wystawa ogrodnicza musi kleić się leniwie i nie może być wyrazem rozwoju pracy krajowej, która stawia pierwsze dopiero kroki, powstrzymywana bądź ciemnotą, bądź też wzgardą dla „zawodów pośrednich." Ciężka dola nauczyła nas już wielu zajęć, o których dawnemu szlachcicowi nawet się nie śniło, ale nie wypłoszyła jeszcze z naszych pojęć i nawyknień rozmaitych wstydów. Proszę sobie wyobrazić pannę, którą wyprowadzono daremnie na targ prywatnych i publicznych zabaw w Warszawie i u wód, co ona uczułaby, gdyby jej w salonie przedstawiono młodego człowieka z tytułem: „ogrodnik?" Nie pomyślałaby nawet o możliwości przetańczenia z nim walca, a cóż dopiero oddania mu ręki. Kiedy zmarły niedawno St. Tomaszewski, wychowaniec Szkoły Głównej, wyjechał na naukę ogrodownictwa do Troi (w Czechach), kiedy opowiadał, że tam kopał i szczepił jak zwykły robotnik—wytrzeszczano na niego oczy. Filolog, literat, człowiek z lepszego towarzystwa—chciał zostać ogrodnikiem! W przeciętnej głowie naszej brak komórki na pojęcie takiego „poniżenia się." My rozumiemy dobrze głuptasa, który, jadąc trzecią klasą kolei, tłomaczy się przed znajomymi w wagonie, że w drugiej zbyt go poduszki grzeją, ale nie rozumiemy „porządnego" człowieka, który sam zaniesie sobie z dworca do domu koszyk. Miałem w uniwersytecie kolegów, skądinąd dzielnych i rozsądnych chłopców, którzy potrzebując wody a nie posiadając dziesiątki dla stróża, przebierali się w lichą odzież i w nocy z dzbankiem przekradali się do wodociągu. Co w krwi roztopione pływa a z nią mózg i serce odżywia, to nie łatwo w organizmie się zatraca. Chociaż więc—jak wspomniałem—pozbyliśmy się wielu niedorzecznych wstrętów do „niskiej" pracy, dużo z nich jeszcze w nas pozostało. A jest to może główna przyczyna naszego osłabienia ekonomicznego i ubóstwa. Dopiero gdy wydostaniemy się na świat szerszy, w zmienione warunki, zmuszające do pracy, wtedy opadają z naszego umysłu rozmaite przesądy, jak zwiędłe liście. Jeden z takich rzuconych w dalekie strony, dając w *Kuryerze codziennym* wskazówki naszym pokutującym w teoryi zamiarom rozszerzenia handlu z Cesarstwem, pisze (z gub. orenburskiej:) „My tu... pod namiotami... kolegialnie ułożyliśmy projekt specyalnej wystawy „obywatelskiej." Wystawić „wykazy hipoteczne" wszystkich majątków ziemskich w Królestwie, dopełniając je wykazami obligów prywatnych, spoczywających w portfelach powiatowych Rotschildów. Dalej, jako materyał psychologiczny, dołączyć: ilość godzin pracy dziennej, poświęconej przez w-go dziedzica sprawom gospodarczym, oraz ilość fumów szlacheckich, próżności i przesądów j. w. dziedziczki w kilogramach."

Śmieją się ludziska z naszych społecznych i obyczajowych rupieci, choć im smutno. A przyznać trzeba, że w tym humorze kryje się myśl zdrowa: tego rodzaju „ekspozycya"—jak się wyraża język warszawsko-polski—wyglądałaby daleko bogaciej niż—ogrodnicza.

Biedna ta kukułka zapragnęła znieść swoje jajka w cudze gniazda. Na placu Ujazdowskim pozostało z wystawy przemysłowo-rolniczej kilka pawilonów, które ogrodnikom przydałyby się. Paru przemysłowców otworzyło im swe kioski darmo—fabryka zaś Lilpopa i Raua—najbogatsza—zażądała 750 rs. komornego. I z kogo tu drzeć łyko! Czy nie zasługują na taką marną ofiarę ze strony pp. niemców ci, którzy ich zbogacili milionami? Ale nie wymagajmy zbyt wiele, kiedy jeszcze jesteśmy cierpiani. Przecież gdyby narodowo-liberalni warszawscy mieli władzę, wypędziliby nas jako „szkodliwy żywioł napływowy;" szanujmy ich, dopóki tylko zakładają u nas fabryki. *Geschäft* jest *Geschäft*—jeżeli więc wystawa ogrodnicza chce zająć pawilon pp. Lilpopa i Rau, niech zapłaci 750 rs. Mieszkania letnie drożeją!

Wspaniałomyślniej postąpili wioślarze warszawscy, którzy swych towarzyszów płockich przyjęli z gościnnością, honorami i wystawnością wielkiego mocarstwa. Zjazd ten, chociaż jego obrady trzymane są w tajemnicy, będzie miał niewątpliwie doniosłe następstwa wodno-polityczne. Już do takiego wniosku upoważnia sam fakt, że goście płoccy przybyli na dwu statkach: chrześciańskim i żydowskim, co sprowadzi „entente cordiale" między dwiema potęgami morskiemi: pp. Fajansem i Górnickim. Pragnąłbym szczerze, ażeby to porozumienie osiągnięto, gdyż uwolniłoby ono nas od „obowiązku zajęcia stanowiska" wobec stron walczących—obowiązku narzucanego nam koniecznie przez najrozmaitszych korespondentów przygodnych, którzy usiłują wszystkie pisma a także i *Prawdę* wyprowadzić ze „zbrojnej neutralności."

Znowu odsłonił się straszny obraz prześladowania polaków w Prusach, gdyż znowu „wznowiono energię." Na innem miejscu zajmujemy się jeszcze raz tą nieszczęsną sprawą; tu tylko donoszę, że ów apostoł, o którym wspominałem przed kilku tygodniami a który miał nadzieję związać cały kraj ślubem niekupowania niczego u niemców — dał pokój swojej misyi. Przygotował on dość szczegółowy spis firm i sklepów niemieckich w Warszawie, którego kopię z uroczystem milczeniem wręczył pewnej damie, robiącej dość znaczne zakupy różnych towarów dla instytucyi dobroczynnej. Dama wykaz przyjęła i rzekła:

— A... dziękuję panu... choć częściowo firmy te uwzględnię...

— Ależ pani — to są niemcy...

— Masz pan racyę, u nich można zawsze dostać taniej...

— Pani mnie nie rozumiesz... pani chyba nie czytujesz gazet...

To było nieco za silne. Dama tedy odparła:

— Czytuję, ale nie te, które posłańcy publicznie darmo przechodniom rozdają.

— Więc pani przypuczasz, że ja tych kulturträgerów polecam? reklamuję?

— Już nie wiem, o co panu chodzi.

— O odwet.

— Jaki?

— Za wypędzenie 30,000 polaków z Prus.

— Aaa!... nie sądziłam, chociaż przyznam się panu, że polityka powinna chodzić swoją drogą, a handel swoją.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Szczepienie mikrobów występku. — „Pobytowi" i żydzi. — Wzorowy sędzia. — Kto rozpaja chłopów. — Współzawodnik Marksa. — Figle amora. — Ograniczoność cudzoziemca.

Nie pisaliśmy już dawno o rabunkach, nie dlatego, żeby nie było o nich wiadomości, ale że wypadki tego rodzaju stały się rzeczą powszednią w naszych stosunkach społecznych, ich niezbędnym czynnikiem składowym, właściwością charakterystyczną. Jeżeli teraz wspominamy o dwóch napadach, których bohaterowie otoczyli w nocy po cichu dwory wiejskie, związali mieszkańców i zabrawszy pieniądze i kosztowności, najspokojniej odeszli, czynimy to nie w celu zaznaczenia zuchwalstwa rabusiów i braku bezpieczeństwa publicznego, bo dla tego wybrać można jaskrawsze przykłady, ale w celu zwrócenia uwagi na jedną z przyczyn tworzenia się band łotrowskich, trapiących prowincyę. Socyolog dotrzeć może do źródła tej sprawy, wskazać powody obniżenia się poziomu moralności, które kryją się w warunkach ekonomicznych i społecznych, niepodobna jednak tego zrobić w pobieżnem sprawozdaniu kronikarskiem; naszem więc zadaniem jest wskazać tylko niektóre specyalne przyczyny, wpływające na powstanie i rozszerzenie organizacyi złodziejskiej.

Członkowie band rozbójniczych rekrutują się najczęściej z t. z. „pobytowych," to jest złodziejów, którzy po odsiedzeniu kary wysyłani są z Warszawy na mieszkanie do małych miasteczek. Dla wielkiego miasta jest to dogodny sposób pozbycia się szumowin swej ludności, ale dla prowincyi to przymusowe szczepienie zbrodni jest ciężką plagą. Nawet społeczeństwa, które w znacznej części powstały z potomków zbrodniarzy, którym brak rąk do pracy i robotnik ceniony bywa nieraz na wagę złota (jak np. Syberya i Australia). protestują przeciw wysyłaniu zbrodniarzy i wymownie przedstawiają straszne następstwa tej kolonizacyi. Łatwo wyobrazić sobie, jakie skutki wytwarza urządzanie osad złodziejskich tam, gdzie niema ani zakładów karnych, ani silnej straży, gdzie podaż pracy często bardzo przewyższa jej zażądanie. W Warce, Grodzisku i innych miasteczkach znajduje się 30, 40, czasem 50 pobytowych. Kto zna nasze miasta prowincyonalne, wie, że ludność miejscowa z trudnością znajduje zarobek, który pozwala jej zaledwie zaspokoić głód; gdyby więc nawet złodziej chciał się poprawić i pracować — zajęcia nie dostanie. Pozostaje mu tylko albo powrócić nielegalnie do Warszawy, albo kraść w miejscu. Wysyłanie jako środek poprawczy nie osiąga celu, jako środek karny również, w dodatku nie zapobiega przestępstwom, ale raczej ułatwia je a poniekąd nawet do nich zmusza. Nagromadzenie zaś w jednej miejscowości ludzi, którzy już próbowali występnego rzemiosła, ludzi zniewolonych do szukania sposobów zaspokojenia głodu, podsuwa im wprost myśl zawiązania spółki złodziejskiej i rozbójniczej.

Podobnej natury powód tłomaczy również znaczny udział izraelitów w kradzieżach i rozbojach. Ludność żydowska w kraju naszym sztucznie skupiona została w małych miasteczkach. Z każdym rokiem proletaryat ten wzrasta liczebnie, gdy tym-

czasem w skutek zmiany warunków społecznych (upadek własności większej), ułatwienia komunikacyi i rozwoju przemysłu fabrycznego, popyt na pracę, do której żydzi byli zdolni — zmniejsza się. Głód jest złym doradcą — nic więc dziwnego, że pozbawieni zajęcia ex-rzemieślnicy i ex-handlarze stają się złodziejami lub rozbójnikami. Rozumie się, oprócz tej są inne jeszcze przyczyny, ale wskazana przez nas jest najważniejszą. Sumienna analiza faktów społecznych, jeżeli rozgrzebie zewnętrzne warstwy, częstokroć uformowane przypadkowo, zawsze prawie znajdzie pod niemi ekonomiczne podścielisko. Najpilniejszem zadaniem ludzi rozumnych i uczciwych powinno być obmyślenie sposobów skierowania tej masy na drogę pracy, uzdolnienie jej do nowych zajęć. Jest to obowiązkiem całej inteligencyi bez różnicy przekonań, obowiązkiem, od którego nie uwalnia bynajmniej wiara w możności konieczność reformy ustroju społecznego, bo nawet przy najbardziej idealnych warunkach bytu ludność, która nie umie pracować, musi być skazana na zagładę.

Inaczej sądzą nasi domorośli antysemici, którzy, nie mogąc z piasku, napełniającego ich głowy, ukręcić bicza na żydów, nie znajdując żadnych praktycznych środków dla rozwiązania sprawy żydowskiej, wpadli na pomysł przymusowego zamknięcia izraelitów w małych miasteczkach. Wykonanie tego pomysłu doprowadziłoby do tych samych rezultatów, co osadzenie złodziejów na prowincyi, tylko, że złe skutki przyjęłyby olbrzymie rozmiary, bo liczba tych „pobytowych“ nowego rodzaju dochodzi do miliona. Gdyby nawet zgodzić się na to, że żydzi są żywiołem bezwzględnie szkodliwym, to i wtedy, jeżeli odrzucimy myśl wytępienia ich za pomocą środków gwałtownych, należy raczej ułatwiać im swobodne rozsiedlenie się. Jeżeli żydowstwo jest jadem, to rozprowadzenie go masą ludności chrześciańskiej złagodzi szkodliwe jego działanie. Dla czego wreszcie miasta muszą znosić żydów, a wieś ma być od nich wolna? Rady antysemitów, oparte są na tej samej logice, według której niegdyś cała prasa oklaskiwała „obywatelski czyn“ p. Korpaczewskiego, wypędzającego prostytutki z ulicy Trembackiej — na Świętokrzyzką.

Pisaliśmy już poprzednio, że wszelkie uchwały gminne o wypędzaniu żydów ze wsi, lub postanowienia, wprowadzające ograniczenia praw, są nielegalne. Nie mówię już o tem, że są one nierozsądne i niemoralne, chociaż oklaskuje je wąsaty Brutus, który w imię zasady zmusza do milczenia nawet głos krwi i pochwala wygnanie z Działoszyc swoich "blizkich." Nową uchwałę włościan wsi Stawin, o niewpuszczaniu żydów do wsi pod żadnym pozorem i nakładającą kary na tych, którzy nie dotrzymają zobowiązania, zaznaczamy z tego powodu, że zapadła ona w obecności i z inicyatywy p. S. Paca-Pomarnackiego, sędziego gminnego i wójta gminy. Dodać należy, że jednocześnie obiecał on usunąć żydów z propinacyi w swych dobrach, tj. przyznał się tem samem, że dla zysku postępował dotąd wbrew wyraźnym przepisom prawa.

Gazeta lubelska wyjaśnia: „dlaczego żydzi szynkują po wsiach.“ W artykule pod tym tytułem nie znajdujemy nowych uwag, ale mimochodem wypowiedziano tu słuszną uwagę, że jeżeli żydzi-szynkarze są szkodliwi i rozpajają chłopów, to winni temu są głównie obywatele wiejscy, którzy pomimo zakazu wydzierżawiają izraelitom karczmy. Przeciw temu zakazowi nie mam nic do powiedzenia, zanotuję tu tylko, że kiedy gazety podały wiadomość o rozszerzeniu go na całą Rosyę, inteligentni żydzi przyjęli nowinę tę z radością, uważając ją za pożądaną w interesie moralności swych współwyznawców. My tymczasem sądzimy, że karczmy, skoro tylko za szynkwasem zasiądą chrześcianie, staną się przybytkami moralności. Pamiętać trzeba, że szynkarz, jak każdy kupiec, starać się musi o jak największy zbyt swego towaru, że więc zawsze dąży i dążyć będzie do rozpajania ludności, chyba, że sprzedażą trunków zajmą się *ludzie idei*, którzy wykonywać będą tę czynność bezinteresownie. Dopóki jednak nie ujrzę za szynkwasem „słowiańskiego oblicza, ozdobionego wąsiskami,“ jednem słowem dopóki zacny „szef“ nie zreformuje handlu wódką, jak zreformował już handel słowem i pismem, dopóty nie uwierzę w możność istnienia „uczciwych i niezależnych“ szynków.

Nie wiem, jakiego wyznania był ów młody kupczyk z Łodzi, który okradał własnego ojca przez długi przeciąg czasu. Nareszcie schwytano złodzieja na gorącym uczynku, ale jakże przyjemnie zdziwił się ojciec, kiedy okazało się, że zręczny synek nie przehulał pieniędzy otrzymanych za sprzedane tajemnie towary, ale złożył sobie maleńki kapitalik, wystarczający na założenie własnego sklepu. Stroskany ojciec może się uspokoić, że ten, kto tak dobrze zrozumiał tajemnicę „tworzenia się kapitału“ nie strwoni majątku, ale raczej pomnoży go w dziesięćkroć i więcej.

Swawolny amor, rozgrzany upałami lipcowymi, jakkolwiek teraz temperatura już się oziębiła, nie przestaje płatać figlów. Przed paru tygodniami za pośrednictwem aktorki, z Pułtuska przestrzelił on serca obywateli spokojnego Serocka. Po skończonem przedstawieniu, kiedy aktorzy chcieli wyjechać z miasteczka, młodzieńcy seroccy porwali primadonnę i nie chcieli jej zwrócić towarzyszom zawodu. Napróżno aktorzy błagali, przedstawiając, że idzie im tylko o zwrot zdobyczy, którą zgadzali się wziąć całą lub uszkodzoną bez żądania indemnizacyi, że czasowe posiadanie łupu jest aż nadto dostateczną nagrodą dla zwycięzców, napróżno porwana, przestraszona liczbą i animuszem rycerzów serockich prosiła, ażeby pozwolono jej wrócić do swoich. Rażeni grotem Kupidyna młodzieńcy nie słuchali dowodów rozsądku, które zagłuszał głos miłości. Przyszło więc do krwawej bójki między napastnikami i pokrzywdzonymi, która zakończyła się nietylko połamaniem stołków w restauracyi, ale i połamaniem członków, powybijaniem zębów a nawet ciężkiemi ranami niektórych walczących. Sprawozdania milczą, czy bohaterka sporu stała się ofiarą gorących afektów młodzieży serockiej, czy też towarzysze odebrali ją wreszcie.

Jakiś znowu obywatel z lubelskiego, gdzie najdłużej jeszcze przechowały się szlachetne uczucia i tradycye rycerskie, porwał pannę, która odmówiła mu swej ręki. Za pomocą sfałszowanego listu sprowadził on ją z Warszawy do Łukowa, podstępnie wsadził do powozu i wywiózł w lubelskie a potem zagranicę. Rodzina panny twierdzi, że porwana niechętną była napastnikowi i że uwiezienie jest zwyczajnym gwałtem. Trudno jednak przedstawić sobie, żeby w ciągu długiej podróży ofiara nie miała sposobności zwrócić się do kogoś z prośbą o pomoc. Prędzej więc należy przypuścić, że ten dowód romantyczno-rycerskich usposobień uwodziciela pojednał z nim porwaną. Chociaż z drugiej strony, jeżeli przypomnimy sobie, że z okolic tegoż Łukowa stada skradzionych koni przechodzą przez całe Królestwo aż do granicy pruskiej, uwielrzymy w możność przewiezienia jednej panny, nawet wbrew jej woli. Jakiś zapalony welocypedysta wybrał się w podróż na swym żelaznym rumaku do Dąbrowy. Szczęśliwie przejechał Radom, ale kiedy przybył do Kielc, niezwykły sposób lokomocyi zwrócił nań uwagę kogo należy, i podróżnik znalazł się w kozie, w której przesiedział trzy dni. Welocypedysta jest cudzoziemcem, nie mógł więc zrozumieć konieczności systematu paszportowego i nie wziął z sobą dokumentów. W kozie kieleckiej przekonał się, że każdy człowiek porządny powinien mieć przy sobie dowody legitymacyjne.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 sierpnia.

Zjazd monarchów w Kromieryżu pochłania wyłącznie uwagę dzienników. Jakkolwiek jednak korespondenci nadsyłają całe szpalty sprawozdań, wszelkie wiadomości ograniczają się na opisie przyjęć, zabaw, uroczystości itd. O celu zjazdu i o jego znaczeniu można snuć rozmaite domysły, ale szczegóły narad pozostaną nieznanymi, dopóki nie wyjawi ich „umyślna“ niedyskrecya jakiego dyplomaty. Dotychczas jedno powiedzieć można na pewno, że zjazd ten jest stwierdzeniem przyjacielskiego związku trzech cesarstw.

Najgłośniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia jest zdobycie Kassali przez wojska Osmana-Digmy. Odsiecz abisyńska spóźniła się. Upadkiem Kassali więcej może jeszcze od anglików niepokoją się włosi, ponieważ teraz powstańcy zagrozić mogą stanowiskom ich w Massawie, a w dodatku gniewa ich przymierze Anglii z Abisynią, na którą oddawna ostrzą apetyt. Zabawny jest widok tej chciwości, która jednak miesza się z obawą i to wyciąga rękę po zdobycz, to ją cofa. Obecnie rząd włoski przygotowuje nową wyprawę. w której ma wziąć udział 10,000 ludzi, ale cel jej pozostaje w tajemnicy. Niektórzy domyślają się zamiaru opanowania Trypolisu, przedmiotu pożądań włoskich, zdaje się, że i rząd turecki obawia się tego, bo wysłał do tej prowincyi nowe wojska. Przybycie ich było dla mieszkańców hasłem do napadu na europejczyków, świadczy to, że włosi spotkają zacięty opór, ale zarazem daje im pretekst do wystąpienia zbrojnego, bo nie obeszło się bez tego, żeby nie poturbowano jakiego syna Italii.

W związku ze sprawą sudańską stoi pytanie o losie Oliviera Paine'a, przyjaciel jego Rochefort twierdzi, iż otrzymał nowe dowody, że zuchwały szwajcar zamordowany został z rozkazu anglików. Dowodami tymi są wątpliwe zeznania wypędzonego ze służby tłomacza, niejakiego Selikowicza. Na podstawie ich Rochefort wskazuje zabójców Paine'a i oświadcza publicznie w dzienniku *Intransigeant*, że jeżeli rząd brytański nie ukarze ich, to on wypoliczkuje lorda Lyonsa, ambasadora Anglii w Paryżu. Ponieważ Rochefort jest znanym awanturnikiem, można się spodziewać, że nie cofnie się przed wywołaniem skandalu, dlatego rząd angielski wezwał francuski o zabezpieczenie osoby posła.

Z powodu zajęcia wysp karolińskich stosunki pomiędzy Hiszpanią i Niemcami naprężyły się i grożą zerwaniem... dyplomatycznem. W Madrycie zebrał się wielki meeting, w którym przyjęło udział około 150,000 ludzi, w celu zaprotestowania przeciw jawnej grabieży, minister spraw zewnętrznych nie przyjął ofiarowanego mu orderu niemieckiego a król Alfons podobno zrzekł się tytułu pułkownika ułanów pruskich. W Berlinie spokojnie patrzą na te naturalne objawy niezadowolenia i oświadczają z flegmą, że przyłączenie wysp karolińskich jest faktem, którego odwołać nie można, ale „słuszne prawa Hiszpanii będą uszanowane.“ (?) Po ostatnim zaborze po-

siadłości niemieckie w Oceanii doszły do 4,300 mil kw. rozległości.

Nie mogąc na razie przeprowadzić unii celnej z Austryą, ks. Bismark poprzestał na zawarciu skromnej ugody. Zboże austryackie płacić będzie zniżone cło, w zamian za co wyroby przemysłu niemieckiego, metalowe i tkaniny skorzystają z tego samego przywileju. Nowa ugoda korzystną jest dla Węgier ale i dla Galicyi, jako kraju rolniczego nie będzie szkodliwą. Zniżone cło od zboża wpłynie na podwyższenie jego ceny, a czy wyroby przemysłu kupować będzie od fabrykantów austryackich czy od szlązkich — to dla niej wszystko jedno.

Gazety rosyjskie uważają zawsze polaków jako uprzywilejowaną narodowość w Austryi, w rzeczy samej zaś, są oni najbardziej wyzyskiwani i poniewierani w tem państwie. Oto jeden z licznych dowodów:

Ze względu na mającą się odbyć wkrótce wycieczkę zbiorową polaków z Galicyi do Pesztu, minister spraw wewnętrznych wydał reskrypt do nadburmistrza, w którym poleca zastosować najsurowsze środki aby odwiedziny te nie zmieniły się w demonstracyę polityczną.

Nadburmistrz zwrócił się do prezesa stowarzyszenia polskiego w Peszcie, który zaręczył, że będzie się starał zapobiedz demonstracyom, zwłaszcza, że odwiedziny mają na celu zwiedzenie wystawy nie zaś ukryte myśli polityczne.

Przyjeżdżali czesi, mówili co chcieli, snuli szerokie plany sojuszów, przyjeżdżali francuzi, wznosili toasty na cześć rewolucyi 1848 r. — wszystko to nic, ale jedno *ejlen* na cześć gości polskich zatrząść może posadami monarchii. Trzeba ich odrazu okiełznać i oszołomić, żeby nie nauczyli się czasem od węgrów jak należy korzystać ze swego stanowiska.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Petersburskija Wiedomosti, a właściwie ich korespondent nie może jakoś skończyć rozmowy z polskim konserwatystą. Zaznaczamy nowy dyalog:

„— Przyznaje więc pan — rzekł korespondent — że zdrowo myślący polak może zachować się konserwatywnie, jak się pan wyraziłeś, względem stosunków polsko-rosyjskich, albowiem odpowiada to jego interesom?

— Przyznaję. I nietylko ja jeden przyznaję. Jest nas wielu.

— Dlaczegoż przekonanie to nigdzie nie bywa ujawnione?

— W jakiż sposób to jest możliwe? W prasie? Ta zależy od cenzury a swobodna dyskusya jest wobec tego niemożliwa. Na zebraniach publicznych? Tych niema. W drodze adresów? Adres musi być obmyślony, obgadany, przedyskutowany „viribus unitis“ — a wszakże i to jest wzbronione.

— No, a w prasie zagranicznej?

— W prasie zagranicznej bywały już tego przykłady i gdyby rosyjscy mężowie stanu lub publicyści poświęcali nam więcej uwagi, mogliby w tych drukiem uwiecznionych odbłyskach myśli polskiej odgadnąć nastrój społeczności naszej i zwrot jaki nastąpił po roku 1870. Powstanie 1863 było szaleństwem, społeczność polska miała je wtedy za takie, i przekonanie o zupełnej bezskuteczności tajnych sprzysiężeń lub starć zbrojnych, powszechnie wśród nas zapanowało; dopomogła temu publicystyka, nadewszystko krakowska, chłoszcząc niemiłosiernie ostatnich mohikanów „liberum conspiro„ w satyrach i filipikach historyka Szujskiego, profesora hr. Tarnowskiego, dziennikarza Koźmiana i kilku pisarzów warszawskich, z konieczności zasłoniętych anonimem. Logika i historya, statystyka i krasomówstwo, oburzenie i ostre szyderstwo — wszystko to były strzały z kołczanu tych dzielnych rycerzy, pragnących wyleczyć myśl społeczną z niedorzecznej rachuby opartej na wszelkich karbonaryzmach i konspiracyach. Leczenie okazało się skutecznem. Jesteśmy wyleczeni radykalnie. Każdy o tem musi się przekonać, widząc, jak zachowujemy się względem takich usiłowań jak organizacya polskich legionów podczas wojny wschodniej, albo podszepty rozmaitych agentów prowokacyjnych. Swoją drogą aż do epilogu wojny franko-pruskiej nie byliśmy wolni od wiary w teoryę równowagi politycznej i konieczności przywrócenia w imię tej teoryi niezawisłej Polski. Stanowczy cios tym marzeniom zadał upadek Napoleona, pokój frankfurcki, włączenie Księstwa Poznańskiego do składu cesarstwa niemieckiego i urzędowna sankcya przez reichsrat polityki germanizacyjnej względem polaków, przy pomocy szkół, sądu, instytucyj administracyjnych i kolonizacyi. Wyleczyliśmy się nawet z austrofilstwa, które nieraz kusiło, zwłaszcza kiedy Franciszek-Józef nadał Galicyi samorząd narodowy, uniwersytety polskie, akademie itd. Z chwilą upadku Napoleona i zmianą usposobienia francuzów względem Rosyi, oraz ujawnienia słabości i tchórzostwa Austryi podczas zatargu franko-pruskiego, szeregi austrofilów naszych się przerzedziły, grunt bowiem na którym mogły opierać się austro-polskie kombinacye okazał się nader chwiejnym. Stało się rzeczą jasną i oczywistą, że Austrya nie jest w stanie bić się z Rosyą i Niemcami, i że nareszcie, niezależnie od tej niemocy, nikt w Austryi, z wyjątkiem polaków tamecznych, niema ochoty wszczynać kwestyi polskiej, że tak dzienniki półurzędowe wiedeńskie i peszteńskie, jak i niezależne dawały nam to do zrozumienia.

Niepodobna było nie pojąć, że jeżeli sprawie polskiej sądzono raz jeszcze zjawić się na gruncie międzynarodowym, to monarchia habsburska odegra przytem rolę bierną; czynnemi zaś będą tylko Niemcy i Rosya. Raz zdobywszy to przekonanie, raz zrozumiawszy, że Austrya ani może, ani pragnie wyciągnąć dłoni swej ku Warszawie lub Poznaniowi, i że ani rosyjskie ani pruskie zabrane prowincye nie są jej potrzebne, ani ze względów geograficznych, ani strategicznych lub politycznych, inteligencya polska z konieczności oddała się rozważaniom i porównaniom, czyje gospodyrstwo jest mniej groźne, mniej niebezpieczne dla interesów narodowych, czy rosyjskie, czy niemieckie.

Uśmiechnąłem się przy tych słowach.

— Tak jest, ważyliśmy to — interlokutor mój, zauważywszy żem się uśmiechnął. Ale ważyliśmy nie w tej myśli, żeby nam przyszło rychło wybierać między Niemcami i Rosyą, porównanie zjawiała się w naszych umysłach sama przez się, jako kwestya, przy jakich warunkach ochrona samoistności naszej narodowej jest mniej trudną, i o ile taki lub inny stosunek nasz do zwierzchniego państwa może tę ochronę ułatwić. Nie myślę przeczyć, że rozważając rozmaite ewentualności w kółkach poufnych, nie wymijaliśmy i możliwości starcia się Rosyi z Niemcami.

— To jest — wtrąciłem — czyniliście innemi słowy wycieczki w sferę politycznych przypuszczeń i horoskopów.

— Przepraszam; wojna Rosyi z Niemcami nie jest rzeczą niemożliwą; obadwa te państwa są tego samego zdania, skoro budują drogi strategiczne, wzmacniają granice, wznoszą forty itd., a prasa nieraz już traktowała tę sprawę jako ewentualność, prędzej czy później nieuniknioną. Skądże więc naród, na którego plecach, że tak powiem, ma się rozegrać wojna, o której ciągle mówią i piszą dokoła, miałby nie przyjmować tej ewentualności w rachubę? Byłby to dowód martwoty chyba, a my żyć chcemy.

— Rozumiem. Ale takie kombinowanie nie może mieć żadnego znaczenia; w razie wojny bowiem, polacy byliby wprost bierną masą, której los zostałby rozstrzygnięty w myśl warunków pokoju i interesów zwycięzcy, bez zupełnego uwzględnienia pragnień polskich.

— Nie. Ludność zamieszkująca teatr wojny ma kompetencyę w sądzeniu o sytuacyi wojennej i bywa czynnikiem niepozbawionym znaczenia, a przeto i usposobienie tej ludności też coś znaczy. Może to ziarnko na szali zwycięztwa, ale i ono zdolne ją przeważyć.

— Więc dajmy na to, że tak. Jakże panowie zapatrywaliście się na ewentualność, o której mowa.

— Doszliśmy do przekonania, że choćby Rosya doznała porażki, byłaby ona chwilowa. Ja sam przechylałem się ku stronie Rosyi, utrzymując, że choćby nasi zachodni sąsiedzi poturbowali trochę niedźwiedzia północnego, to niedźwiedź skuli tylko łapy, a potem przy pierwszej sposobności rozczapierzy je. Dla tego też niechęć polaków względem Rosyi uważałem za rzecz nierozsądną i polskim interesom przeciwną. Z Litwą byliśmy w wiekuistym zatargu, dopóki nie złączyliśmy się z nią dobrowolnie. Na tej zasadzie utrzymywałem, że dobrowolna unia Polski i Rosyi jest tem konieczniejsza wobecnej chwili, że i siły są bardzo nierówne i niebezpieczeństwo ze strony germanizmu większe, groźniejsze niżeli za czasów krzyżackich.“

Najważniejszem w zwierzeniach jest stwierdzenie faktu, że szlachta polska, jako klasa, przeciwną była powstaniu 63 roku i udział jej w nim był nieznaczny bardzo. Czas już wielki, ażeby prawdę tę uznała publicystyka rosyjska.

Birżewyja Wiedomosti z powodu nowej kradzieży w Banku państwa tak przemawiają.

„Przypomnijmy sobie tylko — powiadają — systematyczne znikanie ze środka paczek pieniędzy papierowych przeliczonych, ponumerowanych i przeznaczonych na spalenie, pewnej ilości biletów: przypomnijmy sobie historyę wydawania na zastaw papierów procentowych—sum przewyższających nieraz w dziesięćkroć ich wartość — rzecz, która działa się także systematycznie przez kilka lat z rzędu; dalej przypomnijmy sobie skandalik z zapodzianiem się gdzieś przed laty dwudziestu, od wylosowanych już papierów, kuponów na sumę stotysięcy rubli i coś, itd. Słowem, jest tam, w banku, sporo anteriorów, i to co się zowie podejrzanych. bo tych co „hapnęli,“ wprost wydalono ze służby, nie oddając pod sąd, albowiem „władza nie chciała dyskredytować reputacyi banku w opinii publicznej.“ Tymczasem każda tego rodzaju malwersacya czyni gwałtowniejszą potrzebę rewizyi, która już przecież nie może zdyskredytować banku. Że zaś rewizya jest niezbędną, to rzecz prosta. Papier jest cierpliwy. Cyfry wypisane przez urzędnika mogą być wypadkiem albo naumyślnie fałszywe. Kontrola codzienna może nie zauważyć tego, albo także umyślnie pominąć fałsz milczeniem. I tym sposobem główna kontrola traci już wątek do odkrycia fałszu i przechodzi obok dziesiątków urzędników bankowych, nic nie podejrzewając. Później dopiero wszystko wypływa na wierzch. Dlatego trzeba koniecznie zarządzić nagłą rewizyę i sprawdzić gotowiznę banku z hieroglifami buchalteryjnymi. Co by też stąd wyszło. Doprawdy rzecz ciekawa.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowa szkoła. W r. b. otwartą już zostanie, szkoła rzemiosł utrzymywana z zapisu Konarskiego. Znaczne fundusze (200,000 rs.) jakimi zarząd szkoły rozporządza, pozwolą rozwinąć działalność zakładu na szeroką stopę.

Towarzystwo kredytowe ziemskie na 7,649 dobrach posiada pożyczek na sumę 96,369,165 rs. Z powodu

zalegania w opłacie rat, sprzedano w 1-szem półroczu 1885 r. 32 majątki ziemskie.

Dziwny fakt. Wobec natłoku kandydatów do wyższych zakładów naukowych dziwnem jest, że do Instytutu technologicznego w Charkowie na 125 miejsc podano tylko 70 prośb.

Cło nałożone na papier finlandzki oddziała i na nasze stosunki. Właściciele papierni oznajmili już składnikom, że podnoszą znacznie cenę swego wyrobu, wpłynie to zapewne na podrożenie książek i pism.

Fałszywe banknoty. *Peterb. Wiedomosti* podają ciekawe szczegóły o fałszowaniu pieniędzy papierowych rosyjskich. Wszystkie bez wyjątku rodzaje asygnat były podrabiane. O dokładności wyrobu jak również o znacznej ilości fałszowanych znaków świadczy najlepiej ten fakt, że kasy rządowe bardzo ostrożnie przyjmujące podejrzane banknoty przelały do Banku państwa 105,186 sztuk falsyfikatów na sumę 892,669 rubli.

Dziesięciny. Uchwała Rady państwa znosi istniejące jeszcze w 9 guberniach zachodnich dziesięciny na rzecz duchowieństwa prawosławnego lub katolickiego, zarówno składane w naturze jak i zamienione na opłatę pieniężną.

Szkoły w Warszawie. W ubiegłym roku szkolnym znajdowało się w uniwersytecie 1,399 studentów w 6 gimnazyach męskich 3,103, w szkole realnej 599, w instytucie maryjskim 263, w 4 gimnazyach żeńskich 1,565, w 2 progimnazyach męskich 542, w szkole trzyklasowej miejskiej 130, w progimnazyum żeńskiem 228, w seminaryum nauczycielskiem 58, w 16 szkołach początkowych męskich 1,197, w 12 żeńskich 789, w 3 mieszanych 202, w szkole cerkiewnej 40, w 24 szkołach prywatnych męskich 3,454, w 78 żeńskich 5,102, w 15 mieszanych 1,333, w szkole weterynaryjnej 61, w rysunkowej 262, w 2 szkołach technicznych 402, w instytucie ociemniałych i głuchoniemych 282, w szkole handlowej 540, w 23 rzemieślniczo-niedzielnych 2,493, w 10 żydowskich rządowych 545, i w 20 prywatnych 709. Ogółem w 226 zakładach naukowych liczono 15,885 uczniów i 9,462 uczennic. Uczniowie szkół duchownych nie wchodzą w tę liczbę.

Kto rządzi Rosyą. Cesarz Mikołaj powiedział kiedyś, że Rosyą rządzą „stołonaczalniki“ (referenci), obecnie *Wiestnik Jewropy* dowodzi, że pisarze wołostni (gminni). Szczegółowy wykaz czynności urzędowych, jakie pisarz wykonywać powinien, zająłby zbyt wiele miejsca, zaznaczamy więc tylko że różnorodna działalność jego wymaga korespondencyi aż z 46 władzami, przedstawiającemi wszystkie ministerya z wyjątkiem spraw zagranicznych i marynarki.

Jubileusz. W roku bieżącym upływa 800 lat od czasu pierwszego przybycia żydów do Polski. Są jednak wskazówki, że wcześniej daleko znajdowali się żydzi na Rusi, prawdopodobnie więc, że chociaż w małej liczbie mieszkali i w ziemiach, które weszły w X i XI wieku w skład państwa polskiego. O tej rocznicy nikt nie pamięta, ale natomiast pewne grono izraelitów warszawskich przypomniało sobie o obchodzie 25-lecia literackiej działalności p. Lewandy, żyda wileńskiego.

Pociecha. Leon XIII zamierza kanonizować niejakiego Klemensa Dworzaka, który zostawszy księdzem przezwał się Hofbauer i pod tem nazwiskiem od 1787 do 1807 mieszkał w Warszawie, w klasztorze benonitów. Ale jak powiada *Gazeta górnoszląska,* która pomieszcza życiorys kandydata na świętego, „spiknęli się wolnomularze“ i zgromadzenie benonitów w 1808 r. zostało zniesione, a Hofbauer wyjechał do Austryi. „Dziś kiedy gotują nam polakom nowe próby, niechaj to będzie dla nas otuchą, że nam Bóg daje nowego obrońcę i patrona w niebie,“ dodaje wspomniany dziennik. Marna pociecha, bo dotychczasowi patroni nie wiele nam pomogli, widocznie nie mają kredytu i wpływu na właściwe sfery.

Likwidacya interesów Banku polskiego ma być skończona przed 1 stycznia 1886 r. i wtedy dopiero rozpocznie swą działalność kantor warszawski banku państwa.

Powstanie na małą skalę. W mieście Turuchańsku gub. Jenisejskiej około 200 tunguzów napadło na skład prochu. Załoga miasta złożona z 20 inwalidów położyła trupem 120 napastników i wzięła do niewoli resztę. Przyczyną powstania było wymaganie przez administracyę zbyt wygórowanej ceny za proch.

Bank przemysłowy w Kijowie zamierza wydawać zaliczki na zastaw zboża. Na głównejszych stacyach dróg żelaznych południowo-zachodnich, Chwastowskiej i Kursko-Kijowskiej urządzone zostaną kantory komisowe, które zaliczać będą na zboże $^3/_4$ ceny miejscowej. Od zaliczek tych bank pobierać będzie $^1/_2$% miesięcznie, oprócz tego jednorazowo $^1/_2$% za komisowe i po 10 marek od wagonu. Sprzedażą zajmie się bank, ale dostawca wskazać może miejsce zbytu.

Pierwsza fabryka broni palnej powstaje w Warszawie.

Wzrost ludności Francyi i Niemiec odbywa się bardzo nierównomiernie. Oto kilka cyfr.

	Francya	Niemcy
W r. 1820	30,471,000	26,291,000
„ 1840	34,230,000	33,783,000
„ 1860	36,713,000	37,745,000
„ 1880	37,321,000	42,234,000

Dodać jednak należy, że w ostatniem dziesięcioleciu Francya straciła Alzacyę i Lotaryngię, którą zyskały Niemcy.

Wykopaliska. Na *Via nazionale* w Rzymie odkryto wspaniały bronzowy posąg Herkulesa, mający 6 stóp wysokości.

— W Dźwinogrodzie koło Bóbrki w Galicyi wykopano okazały monolit, ważący około 15 centnarów, który według opinii znawców musiał być cząstką odrzwia jakiejś wspaniałej świątyni; dowodem na to ma być znak murarski. Nadto cały szereg innych wykopalisk podobnych do halickich naprowadza na domysł, że i tutaj stał niegdyś zamek starożytnych kniaziów ruskich.

Kolej miejska na wielkie rozmiary ma być zbudowaną w Paryżu, dzisiejsze bowiem środki komunikacyjne już nie odpowiadają potrzebom ludności. Ma to być kolej powietrzna o 2 głównych liniach, które w czterech różnych kierunkach połączą ze sobą kolej obwodową. Długość linii wynosić ma 40 kilometrów, koszta obliczono na 210 milionów franków. Referat w tej sprawie zdawał już minister robót publicznych wobec komisyi kolejowej i jest już spółka kapitalistów, która ubiega się o koncesyę na budowę.

Pouczająca statystyka. Stan zjednoczonych stowarzyszeń gimnastycznych niemieckich był z początkiem b. r. następny: Wszystkich stowarzyszeń było 3,207, z tych 2,878 w 2,413 miejscowościach należało do związku niemieckiego (włącznie z austryackim). Liczba członków, począwszy od skończonych lat 14, wynosiła 267,854 (tj. 24,117 więcej niż r. z.); w ćwiczeniach uczestniczyło 144,034 (w r. z. 119,653); liczba przodowników (*Vorturner*) wynosiła 13,677 (w r. z. 12,500). Ilość stowarzyszeń, mających własny plac gimnastyczny, wzrosła z 322 na 353, a tych, które posiadają sale gimnastyczne ze 167 na 182.

Statystyka. Rękodzielników liczono w r. z. w Warszawie 37,319; majstrów lub przedsiębiorców 6,348, czeladników 12,964, uczniów 19,007. Największy procent stanowią szewcy 7,574, dalej idą krawcy 2,777, stolarze 2,071, ślusarze 1,890 i rzeźnicy 1,235. Inne rodzaje rzemiosł miały mniej niż 1,000 pracowników. Niewiadomo jaki jest udział kobiet w rzemiosłach, osobna rubryka istnieje tylko dla szwaczek (3,476) i modniarek (3,860).

Zmarli. Stefan Jakubowicz, niegdyś bibliotekarz uniwersytetu kijowskiego.

— Emanuel Herncisz, artysta-malarz, w Krakowie.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Августа 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski